Nr. 120. Lwów. — Piątek dnia 25 maja. **Rok 1888.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeraty z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się całkiem do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Upraszą się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 1. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Urbana I. P.
Jutro: Filipa Ner.

Adres Redakcji i Administracji
Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 20
Zachód „ „ 7 „ 51 0

Długość dnia g. 15 m. 49 0
Przybyło dnia 2 0 min.

Przegląd polityczny.

Wczorajszy telegram ze Strassburga doniósł o rozporządzeniu niemieckiego rządu, utrudniającem przejazd przez granicę z Francji do Alzacji i Lotaryngji. Od podróżnych będą wymagane paszporta poświadczone przez niemiecką ambasadę w Paryżu; tylko od mieszkańców nadgranicznych wiosek francuskich, udających się na krótko do sąsiednich gmin alzackich, będzie wymagane, zamiast paszportów, proste zezwolenie władzy granicznej. Zatem będzie tam zaprowadzony zupełnie ten sam porządek, jaki istnieje wszędzie na rosyjskiej granicy, a nigdzie w Europie. Bezpośrednim powodem do wydania tego zarządzenia jest sprawa zecera Littauera, któremu — jak wiemy — władza francuska robiła trudności w przebyciu granicy na stacji Igney-Avricourt. Wygląda to zatem na represję, na odwet wszystkim Francuzom za przykrość zrobioną jednemu Niemcowi przez samowolę granicznego urzędnika. Ale — jak z Berlina donoszą — odwetem to nie jest, lecz jest tylko skorzystaniem z dobrej sposobności do wprowadzenia prewencyjnych środków, zamierzonych już dawno, a nieprzedsiębranych tylko dla tego, że takie stawianie na granicach chińskich murów jest w całej Europie wielce niepopularne i szkodliwe dla ruchu handlowego. Francuska agitacja w Alzacji i Lotaryngji, prowadzona nader gorliwie przez osoby nasyłane z Francji, wyprowadziła z cierpliwoś i Niemców. Otóż postanowili oni kontrolować osoby, przybywające z republiki i w tym celu, skorzystawszy z wypadku z Littauerem, zaprowadzili system wizowanych paszportów.

Nawiasowo tu dodamy, że od podróżnych z Rosji wprost wjeżdżających do Prus, już od przeszłorocznej wiosny Niemcy żądają wizowanych paszportów. Tamto rozporządzenie było motywowane koniecznością, wynikłą z akcji bannicyjnej. Koniec końców, Niemcy już się na dwóch granicach odgrodziły częstokołami; — tak powoli wydobywają oni z lamusu zapomnianych policyjnych środków materjał na mur, którym się z czasem ściśle otoczą.

Bez żadnego usprawiedliwienia ma wyjść wkrótce rozporządzenie niemieckie, podnoszące cło na zboże rosyjskie o 50 prc. Niektórzy utrzymują, że to rozporządzenie już wyszło i nieopublikowane, ale poufnie zakomunikowane urzędom celnym, już weszło w życie. „Co innego stosunki polityczne, a co innego ekonomiczne — powiada *Post.* — Walka finansowo-ekonomiczna z Rosją nie dowodzi pogorszenia się naszych politycznych stosunków z tem państwem". — Zapewne, pisać wszystko można, licząc na łatwowierność dziennikarskiej publiczności.

We Francji stał się bardzo ważny wypadek w rozwoju wewnętrznych stosunków: monarchiści wszystkich odcieni zjednoczyli się dla obalenia parlamentu i przeprowadzenia rewizji konstytucji. Z pewną uroczystością przystąpiono do utworzenia tej ligi: najprzód wodzowie frakcyj ułożyli i podpisali protokół, w którym powiedziano, że odłożywszy na bok wszystkie specjalne cele, monarchiści obowiązują się solidarnie dążyć wyłącznie tylko do rozwiązania parlamentu i przeprowadzenia rewizji konstytucji; dopiero po osiągnięciu tego celu ustanie moc zawartego paktu; następnie w *Corr. Nationale*, która jest organem hr. Paryża, pojawiła się aprobata zamierzonego sojuszu; taką samą aprobatę wydał książę Napoleon, a ma wydać ks. Wiktor — każdy do swych zwolenników; wreszcie wybrano Główny Wydział prawicy, do którego weszli trzej wodzowie monarchicznych frakcyj, a więc ks. Larochefoucauld, Jolibois i bar. Mackau, — i po dwóch delegatów z każdej frakcji, a mianowicie: z rojalistycznej (hrabiego Paryża) hr. De-Mun i p. De-Maillé, z unji centralnej (ks. Napoleona) Paweł De-Cassagnac i p. Plou i z grupy „odwołania się do narodu" (ks. Wiktora) p. Leon Chevreau i Berger. Ów wydział ogłosił już swój program, brzmiący bardzo krótko, lecz jędrnie: „Prawica postanawia wszelkimi środkami parlamentarnymi i nieparlamentarnymi dążyć do rozwiązania parlamentu i przy nowych wyborach usilnie się starać o to, aby nowi deputowani byli zwolennikami rewizji konstytucji w tym duchu, iżby prezydent był wybierany przez cały naród bezpośrednio. O obaleniu republiki i zaprowadzeniu jakiejkolwiek monarchji prawica wcale nie myśli".

Nie myśli, bo tu już się rozdzielają drogi frakcyj monarchicznych; lecz pomyśli, gdy na porządku dziennym stanie plebiscytarny wybór prezydenta. Jako kandydaci wystąpią hr. Paryża, ks. Napoleon i ks. Wiktor, a krom tego oczywiście Boulanger i jeszcze ktoś, albo kilku nawet z oportunistów i radykałów. Widzimy, że idea „odwołania się do narodu" stała się wspólną własnością wszystkich monarchistów, idea „z woli Bożej" całkiem zbankrutowała. Tron francuski niezawodnie znów się wzniesie, ale w zasadzie stanie się elekcyjnym. Ta ewolucja w pojęciach monarchicznych ciężko zaważy w przyszłych dziejach Francji. Legitymiści już nie mogą nazywać uzurpatorami ani napoleonidów, ani Boulangera, ani żadnego Francuza, który zechce sięgnąć po koronę. Hr. Paryża zniżył się do jednego poziomu z innymi pretendentami — z tymi, co już są, i z tymi, co będą.

Manifest zjednoczonej prawicy jest nader niebezpieczny przez to, że odtrąca myśl o obaleniu republiki. Wszyscy republikanie, znudzeni teraźniejszą mizerją, a przecież przywiązani do istniejącej formy rządu, będą z czystem sumieniem popierali usiłowania prawicy i bulanżystów, którzy chcą tego samego, co ona. Owóż to niebezpieczeństwo wzruszyło pasożytów republiki i oto — jak doniósł wczorajszy telegram — Clémenceau, Ranc i członek rady paryzkiej, szef partji robotniczej Joffrin zwołali na poufną naradę republikańskich senatorów i deputowanych. Chcą oni utworzyć swój główny wydział i na noże rozpocząć walkę z przeciwnikami. Będą silni, bo mają na usługi administrację państwową, która na mocy konstytucji mniej może robić jawnie, jak poufnie, tajnie: czego nie pozwoli sobie prefekt jako urzędnik, tego się łatwo dopuści jako członek unji republikańskiej.

Dziwne zaiste widowisko przedstawia ta biedna Francja, wydana na łup zawziętych walk o władzę. Jest rząd legalny, ale obok niego republikanie stawiają jeszcze inny, niby nieoficjalny, a krom tego istnieje ministerjum bulanżerskie i coś w rodzaju rządu zjednoczonej prawicy. Te wszystkie rządy mają swe budżety, swych urzędników, swych tajnych agentów, swe organa—słowem są to reprezentacje państw w państwie. — Niebawem, bo za tydzień, coś nowego przyniesie walne zgromadzenie masonów, tych rozczynników tradycji i chrześcijańskich zasad. A w całej tej walce idzie o skórę Francji — o mocno już tu i ówdzie wytartą skórę.

Dom Pedro II, cesarz brazylijski, dogorywa w Medjolanie. Onegdaj przyjął już ostatnie Sakramenta św. A był to człowiek popularny i liberalny w duchu tych kwaśnych liberałów, którymi się zachwyca żydowska prasa. Gadał za pan brat z każdym reporterem dziennikarskim, jako zwykły członek należał do różnych towarzystw literackich, naukowych i wszelkich innych, do teatru chodził na parter, śniadania zjadał w restauracjach. Więc robiono mu reklamę, stawiano za wzór monarchy. Ale w gruncie rzeczy mało się zajmował swem państwem, ciągle prawie przebywał w Europie — w Paryżu, w Szwajcarji lub we Włoszech, a tymczasem rządy sprawowała jego córka.

Teraz w Medjolanie umiera, mając lat przeszło 60. A właśnie na łożu śmierci otrzymał wiadomość, że parlament brazylijski zupełnie już zniósł niewolnictwo w Brazylji. Ta szlachetna akcja rozpoczęła się w r. 1871. Wszystkich niewolników nie można było uwolnić odrazu, bo to wywołałoby wielki przewrót ekonomiczny, może sprowadziłoby klęskę gospodarczą w kraju tak słabo zaludnionym. Więc uwolnienia niewolników dokonywano powoli, polepszając równocześnie dolę tych, co jeszcze nie otrzymali praw obywatelskich. Wymagano od niewolnika pewnego majątku, którym się musiał wykazać, jeśli chciał otrzymać indygenat. Tak w lat 17 doprowadzono do tego, że z 10 miljonów niewolników zostało tylko 600,000. Tych ostatnich teraz odrazu uwolniono.

Dowiedziawszy się o tem, Papież napisał do duchowieństwa brazylijskiego: „Jest to najmilszy prezent jaki otrzymałem na mój jubileusz. Niech Bóg błogosławi Brazylji, nieznającej niewolnictwa!"

W sferach finansowych francuzkich wielkie powstało zamięszanie w skutek pojawienia się fałszywych banknotów, tak znakomicie podrobionych, że urzędnicy Banku Francuzkiego przyjęli tych falsyfikatów na 3 miljony. Podobno wszystkich falsyfikatów jest na 25 miljonów. Banki i kantory przestały przyjmować papierowe pieniądze, zaczem pójdą kupcy, przemysłowcy i publiczność. — W skutek tego może powstać mały krach.

Zjazd nauczycieli szkół wyższych.

Kraków 22 maja.

Drugie posiedzenie zjazdu nauczycieli szkół wyższych zagaił przewodniczący prof. dr. Radziszewski wczoraj o godz. $4^1/_2$ po południu. Przedewszystkiem odczytano interpelację ks. Zoellera i Kunza, reprezentantów Koła brodzkiego, zapytujących co Wydział towarzystwa zrobił z ułożoną przez Koło brodzkie petycją do Rady państwa w sprawie emerytalnego funduszu wdów i sierot po nauczycielach szkół średnich.

Następnie dyrektor p. Trzaskowski przedstawił wyczerpujące sprawozdanie o układaniu książek szkolnych. W konkluzjach żądał referent, aby książka szkolna była przedewszystkiem nie obszerna i nie zawierała wiele materjału, oraz aby materjał ten dla każdej klasy był ściśle określony.

Dla lepszego zrozumienia i wyjaśnienia swoich desideratów przedkłada p. Trzaskowski drukowane wzory książek szkolnych, ułożone przez siebie, a mianowicie: ćwiartkę gramatyki łacińskiej dla klas niższych, ustęp z botaniki i z historji polskiej dla klasy VI i kończy sprawozdanie wnioskiem, aby zgromadzenie po dyskusji odesłało rzecz całą do Wydziału z poleceniem postawienia pozytywnych wniosków na przyszłem walnem zgromadzeniu.

Po krótkiej dyskusji formalnej zgromadzenie uchwaliło wniosek powyższy, z dodatkiem postawionym przez prof. Siedleckiego, ażeby Wydział zażądał opinij fachowych.

Z porządku dziennego przyszedł pod obrady wniosek Koła drohobycko-stryjskiego, dotyczący zaprowadzenia obowiązkowej nauki rysunków we wszystkich gimnazjach.

Referent prof. Antoni Stefanowicz odczytał na ten temat rozprawę, odznaczającą się zarówno zaletami stylu jak i ścisłością rozumowania. Argumenta były trafne i szczęśliwie dobrane i sprawiły ogółem dobre wrażenie. Ponieważ jednak bezpośrednio po tem miał nastąpić wniosek podobnej natury (Koła przemysko-jarosławskiego) o zaprowadzeniu nauki geometrji wykreślnej w gimnazjach jako przedmiotu nadobowiązkowego, więc zażądał prof. Rotter, aby oba te wnioski traktowano razem, po wysłuchaniu obu referentów. Po krótkiej dyskusji, w której brali udział X. Pechnik i prof. Sokołowski, przyjęło zgromadzenie wniosek prof. Rottera.

* * *

Trzecie i ostatnie posiedzenie zjazdu odbyło się dzisiaj t. j. w poniedziałek o godz. 9 ej z rana.

Na początku rozdano między uczestników zjazdu drukowane „Sprawozdania", które spóźnione nadeszły ze Lwowa. Wyjmujemy z niego najciekawsze i najważniejsze daty, świadczące o pomyślnym rozwoju Towarzystwa.

W r. b. liczyło Towarzystwo 578 członków, a więc o 16 więcej, niż w roku poprzednim, z tej liczby przypadało na Koło brodzkie 19, na drohobycko-stryjskie 28, krakowskie 137, lwowskie 274, przemysko-jarosławskie 64, stanisławowskie 30 i tarnowskie 26.

Najwięcej posiedzeń (12) w ciągu roku odbyło Koło krakowskie, najmniej (3) Koło drohobycko-stryjskie.

W organizacji wewnętrznej Towarzystwa zaszła ta zmiana, iż jarosławscy członkowie połączyli się z przemyskimi w jedno Koło (przemysko-jarosławskie).

Wydział Towarzystwa starał się o wykonanie uchwał, które zapadły na posiedzeniach Kół i zgromadzeniach walnych. Należała do nich przedewszystkiem sprawa nauki języka polskiego w szkołach średnich. Na podstawie uwag, nadesłanych przez poszczególne Koła, wypracował wydział szczegółowy plan tejże nauki i przedstawił go Radzie szkolnej krajowej z prośbą o zatwierdzenie. W miejsce instrukcji zaś polecił „wskazówki do nauki języka polskiego" wydane staraniem Towarzystwa.

W sprawie nauki języka niemieckiego przedstawił wydział na uchwały walnego zgromadzenia Sejmowi krajowemu i senatom uniwersyteckim, podobnie jak Radzie szkolnej uchwały, dotyczące nauki dziejów ojczystych i rezolucję o uroczystych odprawach szkolnych.

W sprawie utrzymywania konwiktorów wniósł wydział do ministerstwa prośbę o zmianę odnośnego rozporządzenia dla gimnazjum przemyskiego, rzeszowskiego i tarnowskiego, a z równą gorliwością zajął się także losem suplentów. Sejm krajowy w skutek petycji wniesionej przez Towarzystwo uchwalił rezolucję, wzywającą rząd, aby egzaminowanym zastępcom nauczycieli przyznał stanowisko i płacę urzędników rangi XI, z tego powodu też wystosował wydział Towarzystwa prośbę do Koła polskiego w Wiedniu, aby się starało o wykonanie owej rezolucji, które i budżetu państwa nie obciąży i stanowisko suplentów podniesie i rodzinom ich choć w części odejmie obawę o przyszłość. Jako illustracje do tych zabiegów wydziału służą ważniejsze petycje i memorjały wydrukowane w dodatku do „Sprawozdania."

Na pierwszym punkcie porządku dziennego trzeciego posiedzenia była rozprawa prof. Edmunda Grzębskiego o nauce geometrji wykreślnej w gimnazjach. Prelegent zakończył wnioskiem:

„Walne zgromadzenie uważa za pożądane zaprowadzenie nauki geometrji wykreślnej w gimnazjach jako przedmiotu na razie nadobowiązkowego w dwóch godzinach tygodniowo od piątej klasy począwszy."

Zgromadzenie uchwaliło wniosek ten traktować łącznie z wnioskiem Koła drohobycko-stryjskiego. Rozwinęła się szeroka dyskusja, w której zdania były podzielone. Górę wzięła opozycja, sprzeciwiająca się wprowadzeniu do gimnazjum dwóch zupełnie nowych przedmiotów tj. geometrji wykreślnej i rysunków, mimo, że użyteczności tych nauk nikt zaprzeczyć nie może. Ostatecznie uchwalono wniosek p. Tomaszewskiego, że zgromadzenie oświadcza się za wprowadzeniem do gimnazjów nauki rysunków a przygodnie także nauki geometrji wykreślnej.

Z kolei na wniosek komisji kontrolującej uchwalono absolutorjum i podziękowanie dla podskarbiego, prof. Librewskiego i administratora prof. Skupniewicza — po wyjaśnieniach prof Maciszewskiego danych p. Rotterowi w kwestji zbyt wysokich kosztów wydawnictwa „Muzeum" — organu towarzystwa.

Przed wyborami nowemi oświadczył prezes, dr. Radziszewski, że ponownego wyboru na prezesa przyjąć nie może, motywując, że przewodniczący każdej instytucji co lat kilka zmieniać się powinni, gdyż inaczej godność ta staje się poniekad dożywotnią, co praktykuje się wprawdzie w wielu instytucjach — ale z ich szkodą. Jako następcę swego polecił ustępujący prof. uniwersytetu lwowskiego dr. Leonarda Piętaka.

Po przemówieniach p. Zatheya, Trzaskowskiego i Kasparka, którzy próbowali odwieść prezesa od powziętego zamiaru, uchwalono jednomyślnie następujący wniosek prof. Trzaskowskiego:

„Walne zgromadzenie uchwala w myśl statutu polecić Wydziałowi, aby na przyszły zjazd walny przygotował wniosek mianowania ustępującego prezesa dr. Radziszewskiego pierwszym honorowym członkiem Towarzystwa."

Wybory do wydziału wypadły jak następuje: dr. Leon Piętak prezesem, prof. Tomasz Sołtysik zastępcą prezesa, a członkami wydziału: prof. dr. Ludwik Ćwikliński, dyrektor Dziedzicki, prof. Stanisław Librewski, prof. Konstanty Łuczakowski, prof dr. Przemysław Niementowski, prof. Roman Palmstein, Franciszek Próchnicki, dr. Bron. Radziszewski, dyr. dr. Zygm. Samolewicz, prof. Józef Skupniewicz, Józef Soleski i Józef Wójcik.

Wreszcie zdawał sprawę prof. Kasparek o petycji co do funduszu emerytalnego. Wyjaśniwszy kwestję tę ze stanowiska prawnego i finansowego i streściwszy petycję, którą już w tym względzie podało do Rady państwa Towarzystwo urzędników (*Beamtenverein*), zakończył wywód swój tem, że należy się przyłączyć do petycji pomienionego Towarzystwa, zarazem jednak poczynić do niej dodatki, któreby zapewniały wdowom i sierotom po profesorach emeryturę odpowiednią tak co do rangi, jak i pensji profesorskiej.

Po prof. Kasparku przemawiał jeszcze w obronie petycji Koła brodzkiego prof Kunz, lecz zgromadzenie przyjęło wnioski prof. Kasparka i poleciło wydziałowi, aby się do nich w zupełności zastosował.

Referat dr. Warmskiego o wzajemnych hospitacjach nauczycieli odłożono do drugiego zjazdu walnego, na co referent się zgodził.

Przewodniczący zamknął posiedzenie o godz. 2giej. Przy końcu podziękował ks. Zoeller w wymownych słowach dr. Radziszewskiemu za przewodnictwo w obradach.

W ten sposób zjazd zakończył swe prace. Wspomnieć jeszcze należy o wspólnej uczcie, która odbyła się wczoraj w pięknej sali Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Naczelne miejsce za stołem, w podkowę ustawionym, zajął prezes dr. Radziszewski, mając obok siebie z jednej strony dawniejszego prezesa „Koła" krakowskiego dr. Bobrzyńskiego, z drugiej dyrektora Trzaskowskiego; naprzeciw zasiadł prezes obecny „Koła" krakowskiego ks. Lenkiewicz, tuż obok niego zaś dr. Kazimierz Morawski i dyrektor wadowickiego gimnazjum Sew. Arct.

Szereg toastów rozpoczął ks. dr. Lenkiewicz na cześć Wydziału lwowskiego, po nim przemawiał dr. Radziszewski, podnosząc zasługi Koła krakowskiego, dalej dr. Morawski na cześć Rady szkolnej krajowej, dr. Cyfrowicz na pomyślność kół prowincjonalnych, dyr. Trzaskowski na powodzenie uniwersytetu Jagiellońskiego i reprezentantów jego, prof Rostafiński wzniósł toast koleżeństwa, prof. August Sokołowski Towarzystwa pedagogicznego i nauczycieli ludowych, prof. Zathey młodzieży, wreszcie ks. dr. Chotkowski tradycyjne „kochajmy się".

Po wyczerpaniu tych przemówień programowych, odznaczających się nietylko wykwintną formą, lecz zarazem pełną głębokich myśli i serdecznego ciepła, rozpoczęła się wesoła pogadanka, przeplatana tak zwanemi „dzikiemi" toastami. Jeden z najpiękniejszych pod względem formy i treści był toast dr. Radziszewskiego. Mówiąc o rozmaitych związkach chemicznych wyliczył mówca najszkodliwsze a pomiędzy niemi i „kwas pruski", nie będący jednak wynalazkiem chemików. Działanie „kwasu pruskiego" zobojętnia t.

89

RÓZIA.

POWIEŚĆ

przez

Zofję Kowerską.

(Ciąg dalszy).

— Na sumienie, jaśnie panie! jaśnie pan się przekona... jaśnie pan nie będzie żałował, że Kropowiczowi zaufał... tylko trzeba pieniędzy.

— Wieleż to potrzeba?

— Mnie się faktornego należy dwa tysiące rubli, a tysiąc mi potrzeba na prowadzenie interesu.

— Ale zmiłujże się, tak dużo pieniędzy, kiedy jeszcze ani grosza nie wziąłem! Ja nie mam żadnej pewności.

— Przecie ja nie ucieknę! mieszkam w Działopolu, zaraz za granicą, mnie wszyscy znają, można się zapytać!

— Wszyscy jesteśmy śmiertelni.. potrzebuję jakiegoś zapewnienia!...

— Ha, to już jaśnie pan poszuka sobie innego faktora... może inny zrobi za tańsze pieniądze...

— Kiedy ja jestem gotów zapłacić część faktornego, ale resztę zatrzymam do skończenia interesu.

Po długich jeszcze targach i zapewnieniach ze strony Kropowicza, podczas których Mieczysław szamotał się, jak mucha, uwikłana w siatkę pająka, stanęło wreszcie na tem, że połowa faktornego wypłaconą zostanie po rozkolonizowaniu gruntów, ale dwa tysiące rubli dostał Kropowicz zaraz, wydawszy rewers na tę sumę. Pożegnał się, a od drzwi jeszcze zawołał.

— Za dwa miesiące, jaśnie pan odbierze odemnie wiadomość... Jaśnie pan zobaczy, że Kropowicz sprawiedliwy człowiek. Tymczasem niech się jaśnie pan jak najprędzej weźmie do budowania kolonji, bo jakby chłopi zobaczyli pustkę, toby gotowi uciec... Będę ja miał z nimi kłopotu nie mało, więcej niż te pieniądze warte... Co to na nie gąb patrzy! Żona, dzieci... syna oddaję do szkół we Lwowie; z niego taki *patrjota!*

— To się panu chwali, — rzekł wychodząc na korytarz za Kropowiczem Mieczysław. — Wielka to zasługa rodziców nauczyć dzieci kochać tę ziemię, na której się urodziły.

Roztkliwienie jakieś ogarnęło Mieczysława na myśl, że jego pieniądze przyłożą się do przygotowania krajowi godnego obywatela.

Zaraz dnia następnego z gorączkową czynnością zabrał się do umawiania mularzy, cieśli i innych rzemieślników, mających stawiać domy i budynki gospodarskie dla kolonistów. Chciał jeszcze przed zimą uskutecznić jakąś część roboty, przynajmniej postawić ściany i dachy, by z wiosną można było stawiać piece i wykończać budynki. Trudności napotykane trzeba było usuwać za pomocą talizmanu, otwierającego wszystkie Sezamy — pieniędzy. W kilka dni z kapitaliku, mającego służyć Rózi na wyprawę, nie zostało — nic.

— Jestem teraz w takim odmęcie, — rzekł Mieczysław do siostry, — że prawdziwie nie wiem, którą dziurę wpierw załatać, gdzie najprzód się udać, o czem pomyśleć. Co to jest dwadzieścia kilka domów i tyleż obór, i stodół stawiać na raz! Wprawdzie to wszystko małe i niewymyślne, ale zawsze to robota ogromna, a nie jesteśmy w Ameryce, gdzie się domy na poczekaniu stawiają, a miasta powstają, jak grzyby po deszczu. Moja Róziu, czy ci twoje pieniądze teraz są potrzebne?

— Nie, mogę się bez nich obejść.

— Ale pamiętaj mi powiedzieć, zażądać zaraz, jak tylko...

— Dobrze... Mam ich użyć na wyprawę, ale... Bóg wie, jak to tam będzie.

— Aha!

Mieczysław przypomniał sobie w tej chwili, że jeszcze o kupnie gontów pomyśleć było trzeba.

— Wybacz mi Róziu, ale muszę lecieć do Ostrówka. Co tam roboty, to aż głowa pęka!

Gdy Władysław wróciwszy od matki przyjechał do Sędziszewa, zastał kilka osób z sąsiedztwa; Rózia zajęta była rozmową z młodą panną swego wieku, która jej nie odstępowała. Była to osoba, mająca pretensje muzykalne i zamiar udania się w zimie do stolicy dla kształcenia swego talentu, trzymała się więc Rózi, jako siostry w sztuce i ani na chwilę nie ustąpiła jej narzeczonemu. Rażyński, który niósł Rózi wyraz swej tęsknoty, któryby chciałby był jej powiedzieć, z jaką spieszył radością, jak mu się oddalenie długiem wydało, czuł się jakby oblanym zimną wodą. Ta ledwo znana trzecia osoba, rodziła w nim rozdrażnienie, chciałby był odebrać jej Rózię, wziąwszy za rękę narzeczoną uprowadzić ją zdala od ludzi i powiedzieć jej, że wszystko, co niebyło nią, wydawało mu się nudnem, czczem, bezmyślnem... Przeklinał światowe zwyczaje, zmuszające ją do dotrzymywania placu gościom Zenony.

Rózia nie cierpiała nad tą koniecznością, była owszem rada, że znajdowała się przeszkoda do zostania sam na sam z Władysławem. Bała się teraz tego, bała się wymówić w rozdrażnieniu jakie gorzkie słowo, a bardziej jeszcze słuchać wyznań miłości, którymby wierzyć nie mogła; wolała że opowiadał o sensacyjnem małżeństwie wielkiego pana z córką bogatego parweniusza, które zajmowało w tej chwili umysły, niż żeby mówił o własnych uczuciach. Przez cały wieczór unikała go starannie, nawet do fortepianu idąc, wzięła pod ramię rękę swej towarzyszki i posadziła ją obok siebie. Gdy przyszła godzina wyjazdu, Władysław czuł się zanadto rozgorączkowany, by mógł spokojnie czekać jutra; za bramą kazał zawrócić ku furtce ogrodowej i wysiadłszy, znikł pośród drzew i zarośli. Jakieś przeczucie kierowało jego kroki wprost ku altanie lipowej, w której Rózia przebywać lubiła. Była tam ona i teraz; przy blasku księżyca spostrzegł wysmukłą jej postać. Twarz miała ukrytą w dłoniach, usłyszał ciche łkanie. W jednej chwili był przy niej, klęczał u jej nóg, a odejmując jej ręce od zapłakanych oczu, zawołał:

— Płaczesz? Co to jest? Co ci się stało? Unikałaś mnie przez cały wieczór... powiedz mi prawdę... nie kochasz mnie?...

Rózia usiłowała oswobodzić ręce z jego uścisków.

— Nie pytaj mię pan... nic ci nie powiem.

— Powiesz, — zawołał gwałtownie Władysław, — mam przecie prawo wiedzieć, co cię cieszy a co twoje łzy wyciska... nie masz matki, nie masz tu nikogo komubyś się zwierzyć mogła... Czy Mieczysław zna przyczynę twego smutku.

— Nie. Prawda, nie mam nikogo... jestem sama jedna...

— Róziu! powiedz mi co ci jest... to nie prosta ciekawość... Bóg widzi.. ale ja się boję o ciebie, o nasz stosunek, o naszę przyszłość... Ty coś masz na sercu... otwórz mi swą duszę!

Rózia pochyliła się ku Władysławowi. Opanowało ją nagle rozrzewnienie i jakaś potrzeba szczerości i pociechy; zapomniała swych postanowień milczenia.

— Czy to prawda, — szepnęła, — czy to prawda, że... że wtedy gdyś mnie poznał... i przedtem... że kochałeś Zenię?

— Że ja kochałem twoję bratowę? Róziu, czy ja dobrze zrozumiałem? A więc nie, nigdy jej nie kochałem!

— Nie wierzę ci, — rzekła z boleścią Rózia.

— Ona sama ci to powiedziała?

— Tak, ona sama.

— To przewrotna, niegodziwa kobieta! I ty jej ufasz.. więcej jej wierzysz, niż mnie!

— Nie powiedziałeś jej nigdy, że poświęciłeś jej uwielbienie całego twego żywota?

— Powiedziałem jej to nieraz, ale na Boga, Róziu, zechciej zrozumieć!... to była z mej strony poza, sposób mówienia, pochlebstwo dla próżnej kobiety... przysięgam ci, że ona sama doskonale wiedziała, iż ten ton mój był tylko żartem! I ona nie miała dla mnie miłości, a jednak dotąd jest zazdrosną. To jest dziwna kobieta!.. Ona gotowa powiedzieć, żeśmy się kochali!... byle ciebie odemnie oderwać, gotowa własną sławę narazić!

— Ja tego nie rozumiem.

— Róziu zaufaj mi! Mam wady, brak mi hartu i odwagi, ale nie jestem nikczemny.. Możesz wierzyć, kiedy ci przysięgam, że Zenony nie kochałem nigdy, a jeśli jej mówiłem, że jestem jej niewolnikiem, nieszczęśliwą ofiarą jej srogości i tym podobne, dawno już ukute frazesa, to braliśmy je oboje za to, czem były, za formę, w jaką przyodziewaliśmy wzajemne upodobanie w rozmowie z sobą. Lubiłem jej towarzystwo, miałem pewien rodzaj pociągu do jej charakteru, jej kaprysy i sarkazm interesowały mnie, jej oryginalność, piękność, dziwaczne, a gustowne toalety, — to wszystko mnie bawiło. Wiedziałem, że jest zimna, że jest egoistka, ale miałem ją za szlachetnie dumną istotę, nie przypuszczałem, by się mogła posunąć do kłamstwa i intrygi!

(C. d. n.)

zw. „atropina", którą otrzymuje się z „belladony". Ponieważ zaś „Bella donna" podług tłómaczenia pewnego znakomitego chemika niemieckiego znaczy tyle co piękna Polka, więc mówca wzniósł kielich na cześć Polek, które są „atropiną" zobojętniającą działanie „kwasu pruskiego". Przemówienie to przyjęli zgromadzeni hucznemi oklaskami, poczem prof. Tomaszewski wzniósł toast na cześć dr. Radziszewskiego.

Sprawozdanie
komisji spirytusowej sejmu węgierskiego.

Zaledwie ukończyła swoje obrady komisja spirytusowa węgierskiego sejmu, już wniosła do Izby sprawozdanie nad projektem do nowego opodatkowania gorzelni.

Elaborat ten, wypracowany przez posła Hegedüsa jest obszernym i zawiera za wiele szczegółów, mało nasz kraj obchodzić mogących, abyśmy go podali w całości. Mieści wszelako niektóre daty i motywa, które poznać nie będzie bez pożytku. Referat ten rozpoczyna się wzmianką, że gorzelnictwo w ciągu ostatnich kilku lat nie rozwijało się pomyślnie, ani pod względem ogólno ekonomicznym, ani pod względem finansowym, pomimo że w Austrji w porownaniu do innych państw nie dawało skarbowi monarchji tych dochodów, jakie dostarcza gdzie indziej. Przyczynę tego znajduje sprawozdanie nie tyle w pogorszeniu się stosunków rolniczych, w międzynarodowej konkurencji, w taryfach przewozowych i cłowych, i wreszcie w niedostatecznych premiach wywozowych, ile raczej w niewłaściwem opodatkowaniu produkcji spirytusu, zaprowadzonem w ustawie z r. 1884. Dzięki bowiem wprowadzonemu przez tę ustawę dwojakiemu rodzaju pauszali, gorzelnie rolnicze przez nadmierną produkcję nietylko uniemożebniły egzystencję gorzelniom fabrycznym, ale także i sobie nawzajem szkodziły.

Głównie ucierpiały na tem Zalitawja, bo np. kiedy w kampanji roku 1886/7 produkcja spirytusu pauszalowego umiejszyła się w Węgrzech o 41,901.000 hektolitrowych stopni, to rownocześnie w Przedlitawji zmiejszyła tylko o 6,975.000 tych samych stopni.

W ślad tego dowóz spirytusu z Austrji do Węgier, wynoszący w r. 1883 metr. centnarów 43.710, wzrósł w r. 1887 do ilości 62.128, podczas gdy obok tego całkowity eksport węgierski, który w r. 1883 doszedł do 306 179, spadł w r. 1887 do 135 042 metr. centr. Z dat tych, jak oraz z całego materjału dostarczonego przez fachowe ankiety, w których były reprezentowane gorzelnie zarówno rolnicze jak i fabryczne, wyciąga komisja ten wniosek, że proponowana przez rząd reforma w opodatkowaniu produkcji spirytusu, zasadzająca się na j e d n a k o w e m opodatkowaniu wszystkich gorzelni, wedle p o d w ó j n e j stopy podatkowej i na opłacie tego ciężaru podatkowego przy konsumcji krajowej, może jeno wyjść na pożytek gorzelnictwa. Nowa bowiem ustawa, ochraniając wewnętrzny handel wysokiemi cłami dowozowemi, a ułatwiając eksport, nietylko zupełnem uwolnieniem od podatku wywożonego spirytusu, ale równie przyznaniem mu wywozowych premji — umożliwi zbyt w kraju i na zewnątrz, ale zarazem przesuwając ciężar podatku z producenta na konsumenta ułatwi produkcję, bo nie wymaga od producenta opłaty podatku — jak było dotąd — przy producji, lecz dopiero przy oddaniu towaru do konsumcji, więc umożliwia produkcję z mniejszym kapitałem nakładowym. Przez zwiększoną zaś produkcję na eksport i przez ograniczenie w ramach kontyngentu tej produkcji do której będzie stosowaną niższa stopa podatkowa, wpływa ustawa ta na to, że skarb państwa otrzyma bezsprzecznie wyższy dochód z opodatkowania gorzelni.

Przeciw temu nagłemu i tak znacznemu podwyższeniu podatku podnoszono wprawdzie zarzut, że musi on obniżyć konsumcję, a więc z tej zmiany nie skorzysta dostatecznie skarb państwa, lecz obawy te wydają się komisji płonnemi, gdyż podwyższony podatek nie zacięży zbyt dotkliwie na konsumentach używających zazwyczaj rozcieńczonego spirytusu, a zresztą świadczy przeciw tym obawom silna konsumcja w innych krajach, gdzie opłaty znacznie są wyższe.

Opłaty te, licząc od hektolitra — są w Rumunji i we Włoszech dwa razy, w Rosji cztery razy wyższe od proponowanych u nas, a biorąc zaś za podstawę urosłe stąd obciążenie jednego mieszkańca, to jest ono we Francji pięć razy, w Belgji siedm razy, w Rosji siedem i pół raza wyższem, jak to przewidzianem jest w nowej ustawie.

Sprawozdanie wylicza dalej główne cechy nowej ustawy, podnosi faworyzowanie Przedlitawji w tem, że porobiono ulgi gorzelniom rolniczym głównie w Przedlitawji rozpowszechnionym, i zaznacza, że zastosowany w nowej ustawie system opodatkowania, prócz dość jeszcze niewypróbowanej praktyki w Niemczech, nie przeszedł dotąd przez ogniową próbę doświadczenia. Mimo to komisja wyraża nadzieję, że nowa ustawa nie uwłaczając ekonomicznym potrzebom kraju, przy należytej, sumiennej kontroli zwiększy dochody skarbu, zatem będzie dla niego bogatem źródłem finansowem.

Stan rzeczy w Królestwie Polskiem.

A złe nie czeka — i mrozi i ziębi
I powróz wciska — głębiej — coraz głębiej"

Od tych słów Karola Balińskiego przychodzi w dzisiejszych czasach — piszo *Czas* — zaczynać każde sprawozdanie ze stanu Ziem polskich pod rządem rosyjskim.

Złe tak się wzmaga, że wiele nowych faktów ucisku przemija niezapisanych nigdzie. Powróz panrusycyzmu biurokratyczno-klerykalnego zaciśnięty tak silnie, że społeczność zgnębiona przyjmuje z pewną otrętwiałością nowe rozporządzenia posuwające *ad absurdum* system wynarodowiania i zgnębiania wszelkich warunków życia. Od tych, co odwiedzają Warszawę, Litwę lub Wołyń, można zbierać tylko wrażenia, jak szybko postępuje — nie powiemy system wynarodawiania, bo to nie jest prawdą; gdyż środki używane chybiają celu, ale sprowadzają na kraj spieszny upadek pod każdym względem: administracyjnym, cywilizacyjnym i ekonomicznym. Gorzej rządzonego i administrowanego kraju, jak nim jest obecnie Królestwo polskie, nie ma z pewnością w całej Europie. Tam, gdzie wszystkie usiłowania władz zwrócone tylko w jednę stronę i jedną tylko ożywione myślą, aby prowadzić bezwzględną walkę z żywiołami miejscowemi, aby przenaturzyć istotę kraju, tam wszystko kończyć się musi na upadku, rozkładzie, powiedziećby można: na anarchji. Tak jest, despotyzm rządowy — mianowicie w Królestwie polskiem — doszedł do zupełnej anarchiczności. Jeśli następstwa tego straszne są dla krajn, to nie są wcale korzystne dla rządu i państwa. Idea państwowa i idea władzy z natury swej nakłada pewne warunki i obowiązki bez względu na tendencję polityczną, aby zachować porządek ład, spieszny wymiar sprawiedliwości, czuwać nad bezpieczeństwem i dobrobytem, zgoła aby utrzymać machinę rządową w normalnem funkcjonowania.

Tak było za Mikołajowskich i Paskiewiczowskich czasów, które *risum teneatis* wspominają dziś w Królestwie, jako błogą epokę i stan idealny w porównaniu do dzisiejszego. Nawet w latach bezpośredniej represji po roku 1863 gdy kniaź Czerkawski zaczynał swoje próby reform zaprawionych doktrynami nihilizmu — jeszcze wtedy o tyle było lepiej, że rząd się jeszcze do jakichś obowiązków poczuwał, aby mnożąc z jednej strony ruiny, dawać przynajmniej pozory postępu. Kto wtedy widział Warszawę — to mu się serce ściskało wobec ucisku wszystkiego, co polskie — ale przyznać musiał, że miasto było porządnie utrzymane, ekonomiczny rozwój szedł swoim torem, nowe zabudowywały się dzielnice, a ten popęd ekonomiczny oddziaływał i w głąb prowincji. Zamykając oczy na kwestje narodowe i religijne, można się było wtedy dziwić elastyczności społeczeństwa, a i pewnej sprężystości rządu, że po takich wstrząśnieniach postęp materjalny nie ustawał. Dziś nędza i upadek wszędzie i we wszystkiem. Są zapewne tego także przyczyny natury ogólnej, skutki przesileń ekonomicznych, ale są także następstwa owej anarchji rządowej. Na czele kraju stoi żołnierz, człowiek uczciwy, może mniej uprzedzony i niechętny, niżby z jego czynów zdawać się mogło, ale najzupełniej po za fachowością wojskową w rzeczach administracyjnych nieudolny. W koło niego szajka, czy komitet tajny agitatorów, nie mających innej idei okrom owej rusyfikacji, w szczegółach częstokroć śmiesznej, rozmijającej się z celem. Dla tych ludzi, którzy otaczają zamek i właściwy rząd centralny dla całego Królestwa stanowią — wszystko, co nie jest rusyfikacją, nie ma już żadnego znaczenia. Dziś zajmują się oni głównie przemalowywaniem szyldów, aby usuwać polskie napisy lub je do minimalnych doprowadzać rozmiarów — bawią się oni Warszawą, aby ją pomalować na moskiewskie — podobnie jak Potemkin rozsuwał dekoracje miast na stepach pustych. Co się dzieje poza tymi szyldami, jaki upadek handlu, jaki zastój przemysłu — to już nikogo nie obchodzi — równie jak rząd się nie troszczy wcale, czy na gruncie wzmagającej się nędzy nie wzrasta posiew socjalizmu. Warszawa do niedawna bogatą była w instytucje dobroczynne, a słynęła z ofiarności — obecnie na polu humanitarnej filantropji, czy na polu miłosierdzia chrześciańskiego władzom nie chodzi o to, aby nędzy zaradzić, ale o to jedynie, aby każdą instytucję przerobić na kopyto moskiewskie — jak się to niedawno stało z zakładem głuchoniemych — ostatnią szkołą, gdzie dozwolonem było uczyć po polsku. To samo z wychowaniem publicznem od uniwersytetu, przeważnie zapełnionego napływem rosyjskiej młodzieży, aż do szkółki wiejskiej — zwykle pustej, boć ani dzieci wiejskie po rosyjsku uczyć się nie zdołają, ani profesor zawodu swego na serjo nie bierze — on jest na to, aby szpiegować dziedzica we dworze i księdza na plebanji, a od czasu do czasu buntować chłopów. Stan dróg w całym kraju opłakany, choć do niedawna był świetny. Zgoła wszystko, co stało — wali się w ruinę, gdzie niegdzie tylko nowa wznosi się cerkiew — i to wystarcza na dowód postępu rusyfikacji.

Nowy naczelnik cenzury, nowe nakłada kagańce na prasę i literaturę — i niedziw, bo sam nie posiada języka, w którym ma cenzurować. O szykanach wobec biskupow i duchowieństwa trudno nawet pisać, bo są one na każdym kroku w najdrobniejszych i najważniejszych sprawach. Z Podlasia nie przestają nadchodzić echa nowego przyspieszonego działania, aby ostatnie przygłuszyć skargi — jak gdyby chciano skończyć raz na zawsze z Unitami — przed zamierzoną ugodą z Rzymem. Daremna praca — zbyt wiele i długo cierpieli — aby tak prędko mogli zapomnieć. Odwieczną jest prawdą, że krew męczenników jest posiewem wyznawców — a więc na Podlasiu, choć już tylokrotnie ogłaszano w obec całej Europy dobrowolny powrót ludności na łono cerkwi prawosławnej — pokolenia miną, a idea Unji, uczucia katolickie nie zaginą.

Jeśli nigdy nie można powiedzieć, że gorzej być nie może — to o obecnym stanie Królestwa powiedzieć należy, że nigdy tu gorzej nie było. Pod wpływem rządu, który z prześladowaniem łączy nieudolność, z despotyzmem anarchję, który jest zawsze czynny i czujny, aby dokuczyć i przeszkodzić — a nigdy go nie ma aby rządzić, utrzymywać ład i normalną władzę — ścieśnił się i niemal zniknął ten zakres działania, który w najcięższych czasach dozwalał spełniać *oficia boni viri*, robić rzeczy dobre i pożyteczne pod względem społecznym, filantropijnym, ekonomicznym lub cywilizacyjnym.

Takich usiłowań i dzieł w formach i warunkach najbardziej legalnych powstawało zawsze w Warszawie i w Królestwie wiele. W tem objawiała się żywotność społeczeństwa i jego ofiarność. Dziś to wszystko ustać musiało, bo rząd stoi na stanowisku negacji wszystkiego, co pożyteczne. Oczywiście przykładów przytaczać trudno, gdy każde choćby drobne i niewinne usiłowanie budzi zawsze podejrzenia władzy i wywołuje kategoryczną, niczem nieumotywowaną odmowę. Nie chodzi tu o rzeczy narodowe lub religijne — ale o rzeczy po prostu ludzkie, czy to materjalnego czy moralnego znaczenia. Jak tu żyć w takich warunkach, jak się obronić apatji, zwątpieniu, bezczynności przymusowej. — Wszystko, co robią Rosjanie, jest prowokacyjne, dokuczliwe, ale chybia celu — Polacy nic robić nie mogą.

Na gruzach tylu instytucyj, ma powstać jedna nowa: Bank włościański dla Królestwa. Ukaz niebawem ma być ogłoszony — tendencja znana. Czy to ma być komisja kolonizacyjna na wzór bismarkowskich w Poznaniu—i jaki tego zamiaru skutek — nie chcemy przesądzać.

Mały Fejleton.

MONACO.

Śmieszne sobie księstewko, to „udzielne państwo" domu Grimaldich. Dwie nagie, głęboko w morze wsunięte skały, z których jedna jest właściwem Monaco, a druga Monte Carlem i wąski pasek piasków nadbrzeżnych—oto cała monarchja, obejmująca zaledwo 15 kilometrów kwadratowych.

A przecież to monarchja prawdziwa, uznana przez Europę, zagwarantowana traktatami, ba, nawet absolutna. Poddani księcia Monaco nie posiadają dotąd konstytucji. Karol III jest samowładzcą nad obszarem, nie równającym się co do rozległości żadnemu z naszych folwarków średniej wielkości.

Na zamku w Monaco pokazuje lokaj każdemu, kto może dać franka napiwnego, oprócz różnych sypialni, obrazów, portretów itd. i salę tronową. Mały to pokoik, ale stoi w nim ogromny tron, cały aksamitny i złotemi ozdobiony błyskotkami. Prawdopodobnie zasiada na nim Karol III bardzo rzadko, bo wspaniałe drzewo wygląda, jakby dopiero co sporządzone.

Rodzina Grimaldich, wywodząca się z patrycjuszy genueńskich, panuje w Monaco bardzo dawno. Już w r. 968 pilnował Grimaldus I owej samotnej skały, na której składano kiedyś ofiary Herkulesowi *monoecus*'owi (stąd nazwa miejscowości).

Burzliwego, wojowniczego usposobienia, byli Grimaldowie wieków średnich, mianujący się książętami od lat czterystu. Aczkolwiek chudopachołkowie, brali czynny udział w różnych zawieruchach, których mnóstwo przeszumiało w dawnych czasach nad Riwierą. *Kłócili* się z sąsiadami, najeżdżali bliższych, chwytali co się dało; w wojnach z królami Neapolu, Sardynji, Hiszpanji i Francji ruszali w pole z milicją swoją, w zatargach między Gwelfami i Gibelinami nie stali na uboczu. Wszędzie było ich pełno, więc nieraz dostawali porządne cięgi, dość często nawet musieli uciekać z rodzinnej skały. — Ale wypędzeni jedną bramą, wracali drugą, pokonani przemocą, zwyciężali podstępem i wytrwali w dziedzictwie praojców aż do dnia dzisiejszego.

W r. 1303 np. oddał Karol, król Neapolu i hrabia Prowancji, Monaco w zastaw za 100 uncyj w złocie innej rodzinie genueńskiej, mianowicie Spinolom.

W trzy lata później zakradł się Franciszek Grimaldi, z przezwiska M a l i z i a, w sam dzień Bożego Narodzenia, w przebraniu mnicha do zamku, pozyskał dla sprawy swojej kilku śmiałków i wymordował załogę przeciwnika. Od owego czasu dodano do herbu Grimaldich dwóch zakonników, którzy podtrzymują tarczę z mieczami w ręku.

Słabi i ubodzy, musieli w każdem prawie pokoleniu uznawać protektorat któregoś z mocniejszych sąsiadów. To chylili się przed książętami włoskimi, to czapkowali królom hiszpańskim lub francuskim, a gdy źle poszło, trzeba się było pokłonić pierwszemu z brzegu zuchowi, wichrzącemu na Riwierze.

Nagich skał nie pożądano zapewne. Biedzie swojej zawdzięczają prawdopodobnie Grimaldowie, że ostali się dotąd mimo licznych burz, które przeszły nad ich zamkiem, grożąc mu niejednokrotnie zagładą.

Chociaż u siebie udzielni panowie, władzcy absolutni, udawali się dla chleba w służbę bogatszych. Krew ich płynęła na wszystkich polach bitew krajów zachodnio południowych, głos ich rozlegał się często wśród wrzawy wojennej rozkazem wodzów i komendantów. Buńczuczny ród nie próżnował aż do pierwszej połowy XVII stulecia.

Dopiero z rokiem 1641-ym zmienia się położenie chudopachołków udzielnych. Obdarzeni przez Ludwika XIII księstwem Valentinois, mianowani później parami Francji, odetchnęli nareszcie po wielu wiekach niedostatku i mitręgi.

Potomkowie dumnych wojowników rozebrali się z twardych zbroi, a przebrali się w miękkie atłasy, aksamity i koronki. Dzicy rycerze stali się gładkimi dworakami, dla których miło stki w salonach wersalskich więcej ważyły od tryumfów, odniesionych na polach sławy. — Rozgłośne ich awantury i awanturki posłużyły później Voltaire'owi do satyrycznego wiersza: *Monaco perd son sang et l'amour en frissonne.*

Wielka rewolucja nie zapomniała o Grimaldich.

Rozporządzenie konwentu z dnia 15 lutego 1793 r. wcieliło księstwo do rzeczypospolitej, a samego udzielnego pana dwóch skał wtrąciło do więzienia razem z żoną jego syna. Dziewiąty termidor wrócił księciu wolność, ale nie zdołał zachować jego synowej przy życiu. Księżna zginęła na szafocie kilka dni przedtem

Traktat wiedeński uszanował odwieczne prawa domu Grimaldich, które trwają dotąd w dawnej formie. Grimaldowie panują do dnia dzisiejszego w Monaco, choć zostają pod protektoratem Francji, która nabyła od nich w r. 1861 za 4 miljony franków przyległe miejscowości: Mentonę i Roccabrunę (Roquebrune). Obecnym ich przedstawicielem jest Karol III, wspólnik Blanca, moralny założyciel „Kasyna" na Monte Carlo.

Dzisiejsi książęta Monaco nie pochodzą właściwie w prostej linji od Grimaldusa I, ród ten bowiem wygasł po mieczu w r. 1731, zostawiając prawa swoje i dziedzictwo Leonardowi de Goyon-Matignon, hr. de Thorigny, mężowi ostatniej księżniczki Grimaldi, który przyjął nazwisko żony.

Trzeba być w Monaco i spojrzeć z zamku na roztaczający się przed okiem cudzoziemca krajobraz, aby zrozumieć przywiązanie Grimaldich do starożytnego ich grodu. Pominąwszy bowiem tę okoliczność, że każdemu tam najmilej, gdzie spoczywają prochy jego ojców i gdzie ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, należy dziedzictwo patrycjuszów genueńskich do najpiękniejszych miejscowości na Riwierze, czyli, co to samo znaczy, w Europie.

Na wysokich górach, niby orły, gnieździli się rycerze niemieccy. Z po za lasów jodłowych spoglądali na równiny i rzeki, na zielony Nekar i poważny Ren, czatując na kupców, którzy mijali ich państewka z worami pieprzu, soli lub towarów innych. Nad jeziorami budowali słowiańscy dynastowie stolice swoje. Szumiały im sosny i szeptały ciche wody pieśń wieczorną. Żaden jednak wojownik Europy środkowej lub północnej nie mieszkał tak wspaniale, jak królewięta nadriwierscy w ogóle, a Grimaldowie po szczególe.

Wszystko, co przyroda ma pięknego, zgromadziła na tym malowniczym skrawku ziemi, bo: skały i góry, morza i doliny, wichry i dni słoneczne.

Skała, na której stoi zamek monakijski, spada prawie pionowo do morza. Naga, groźna wyniosłością swoją, poważna wiekami, które uderzały w nią, a nie skruszyły jej siły, zdaje się jakby stworzona na siedlisko dumnego rodu. Ze szczytu jej ogarnia wzrok niezmierzoną przestrzeń szafirowych fal, lub zatrzymuje się na hardych ścianach Alp, które zamykają krajobraz od północy. Z lewej strony widac Mentonę, z prawej Beaulieu i Ville-franche.

Powietrze tu tak przejrzyste i lekkie, że zniosą je najwięcej chore płuca, a morze w dzień pogodny błękitniejsze od nieba.

Aż do czasów najnowszych była ta skała rzeczywiście tylko skałą. Całe księstwo Monaco z młynami, drogami, cłami, podatkami i t. d. przynosiło panom swoim zaledwo 15 000 franków rocznego dochodu, mimo straszliwej gospodarki księcia Honorjusza, poprzednika dzisiejszego władzcy, który zogniskował w swojej osobie wszystkie rzemiosła, zajęcia i urzędy, aby skarbowi oszczędzić wydatków. Za takie pieniądze trudno zasiadać na tronie, mieć radę przyboczną, gwardję, być, słowem, panującym.

Sprzykrzyła się ta bieda obecnemu księciu, więc kiedy Blanc poprosił w r. 1858 o pozwolenie założenia w Monaco „kąpieli morskich z ruletką", nie wahał się potomek słynnych wojowników ani przez chwilę.

Odrazu zmieniło się znów położenie Grimaldich. Wprawdzie „zarabiało" kasyno przez lat dziesięć, aż do przeprowadzenia kolei, bardzo mało, lecz sława domu gry rosła z każdym dniem, a z nią nadchodziły i miljony, których znaczną część zabierał i zabiera dotąd skarb książęcy.

Naga skała i skrawek nadbrzeżny, zwany Condamine (*Campus Domini*) łączący siedzibę księcia z drugą skałą, na której wznosi się Monte-Carlo, pokryły się mnóstwem hoteli, zajazdów, will i ogrodów. Z Monaco do Monte-Carlo poprowadzono prześliczną drogę, wykutą z kamienia, uprzątnięto staroświeczczyzny, zamieciono i przystrojono dziedzictwo Grimaldich na przyjęcie „gości", co z różnych stron kuli ziemskiej spieszą złożyć ofiarę nierozumnej rulecie. Dziś całe księstwo Monaco jest jednem miastem. Nie ma tam ani piędzi gleby ornej. Gdzie się dało, pobudowano domy lub pozakładano parki.

W samem Monaco świadczą tylko resztki murów, niegdyś obronnych, o starożytności gniazda. Wprawdzie leży na dziedzińcu dwanaście armat, zwróconych otworami na morze i kupy kul straszą, a raczej bawią podróżnych, ale te armaty i kule zjada powoli rdza. Trudno się nie uśmiechnąć, gdy się widzi na olbrzymiej lufie, należącej do władzcy, panującego nad 5000 poddanych, pyszny napis: *ultima ratio regum*. Chyba to bardzo wesołe?

Te strzępy murów obronnych, bezczynne od czasów niepamiętnych, działa z szumnemi napisami, oraz żelazne bomby i granaty, oto wszystko, co przypomina cudzoziemcowi, że się znajduje na zamku wojowniczego niegdyś rodu.

Sam książę mieszka w pałacu nowym, tak czyściutkim i milutkim, że nie różni się w niczem od zwykłych „hoteli" francuskich. Złoto Blanca starło z komnat pleśń starożytności, zastąpiwszy ją blaskami dostatku obecnej epoki. Karol III otoczył się komfortem mieszczańskim. Nawet w kaplicy zamkowej nie ma ani śladu minionych wieków.

Rzecz szczególna! Złoto rulety zamieniło ten opuszczony dawniej zakątek na miejscowość zamożną, ale wzięło mu równocześnie swobodę. Na górze Karola rozgościł się smutek, jakby się nad nią unosiły duchy samobójców i płynęły skargi zgranych. Panuje tu wprawdzie ruch wielki. Ludzie zajeżdżają powozami i nadchodzą pieszo, ale nikt nie zatrzymuje się przed „kasynem" aby pogawędzić, pośmiać się, pobawić. Każdy albo śpieszy do sali, albo ucieka z niej.

W ogrodzie nie widać prawie odpoczywających. Gdzieś, wśród klombów drzew, siedzi na ławce jakiś młodzieniec, lecz nie podziwia wspaniałej flory południa. Odwrócił się twarzą od ulicy i spogląda w ziemię. Nieco dalej przechadza się kobieta. Na policzki jej wystąpiły gorące, chorobliwe rumieńce, a oczy zaszły łzami.

W kurytarzu „kasyna" rojno, ale cicho. Zgrani lub sfatygowani nużącą nadzwyczaj robotą przy rulecie, przesuwają się w milczeniu między filarami. Ten i ów zapali papierosa, pociągnie kilka razy, i rzuci narkotyczną zabawkę.

Sama sala gry robi niezmiernie przykre wrażenie. Zaledwo się drzwi otworzy, słyszy się brzęk złota i owe monotonne nawoływania krupierów. Pusty śmiech nie trzepoce się nigdy, do rozkosznej podobny ptaszyny, między ciemnemi ścianami przybytku Mamony. Ludzie mówią tu jak najmniej, bo tylko to, co koniecznie potrzebne. W „kasynie panuje nieprzyjemne milczenie, przerywane rzadko głośniejszym wykrzyknikiem.

To samo dzieje się w sali koncertowej. Wybornej muzyce nikt nie klaska; rzadko kto dosiedzi do końca. Przyszedł, aby zapomnieć na chwilę o stracie, którą poniósł, ale franki chodzą mu po głowie, przed oczami tańczą numera, *pair*, *impair*, *passe*, *manque*, więc zrywa się z fotelu i śpieszy znów do roboty. Może się odegra! Wszakże nie za to bije u nas ojciec syna, że gra, lecz za to, że się odgrywa. To odgrywanie, to miljony spadkobierców Blanca.

Jest cechą charakterystyczną Monte Carla, że nie posiada prawie wcale sklepów. Zdawałoby się, że z miejscowości, o którą potrąca corocznie 300 000 osob, powinni kupcy ciągnąć obfity zarobek. Tymczasem nie ma na górze Karola ani jednego składu poważniejszego. Obok kasyna stoi buda, w które sprzedają fotografje, przewodniki dla podróżnych, różne „niezawodzące systematy" i „uczone" wskazówki dla grających. Cały to ruch handlowy.

Ruleta wzięła temu uroczemu w istocie skrawkowi Riwiery spokój i swobodę i zdemoralizowała całą okolicę.

We wszystkich miastach sąsiednich istnieją gry hazardowe, a gdzie prefektura czuwa, tam urządzono jaskinie tajne. W Nizzie np. zgrywają się cudzoziemcy publicznie w kasynie miejskiem.

Znaczna część prasy stron tutejszych zostaje na żołdzie rulety. Dzienniki biorą „szwajggeldy" za to, że milczą.

Cały stan kupiecki popiera gorliwie jaskinię na górze Karola, tak samo hoteliści, cukiernicy, a nawet władze miejskie. Żyją przecież jedynie z cudzoziemców, którzy nie dla samego słońca na Riwierę francuską przybywają.

Pobłażliwość swoję dla rulety tłumaczą wszyscy jej zwolennicy tym sofizmatem, że kto chce pieniędze stracić, straci je wszędzie. Lecz sposobność robi złodziejów, a domy gry nierozumnych utracjuszów. Nie jeden zostałby w domu, gdyby nie było Monte Carla.

Przeto powita każdy człowiek uczciwy z prawdziwą przyjemnością wiadomość o zamknięciu jaskini monakijskiej. Podobno termin ten już niedaleki.

T. J. Choiński.

Kronika.

Lwów, dnia 24 maja.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły Radzie szkolnej miejscowej w Zakliczynie, w powiecie brzeskim na budowę szkoły zapomogi w kwocie 100 złr.

Spensjonowanie i przeniesienie. JEksc. p. Minister spraw wewnętrznych spensjonował starostę tarnowskiego Ludwika ks. Łodzię Pomińskiego, a na jego miejsce przeniósł z Bochni do Tarnowa starostę Leopolda Piazińskiego.

Mianowanie. — Prezydjum krajowej dyrekcji skarbu zamianowało koncypjenta prokuratorji skarbu dra Józefa Pajączkowskiego koncepistą galic. prokuratorji skarbu w X klasie rangi.

Wycieczka Dublańczyków do Tarnobrzegu. JE. Jan hr. Tarnowski, Marszałek krajowy zaprosił uczniow wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, ażeby na Zielone Święta zrobili wycieczkę do dóbr jego w Tarnobrzegu. Wycieczka ta powiodła się nader szczęśliwie. Uczestnicy jej, obok przyjemnego spędzenia czasu rekreacyj świątecznych, odnieśli także niepospolite korzyści z dokładnego zwiedzenia wzorowego gospodarstwa, z którego dobra pana Marszałka w całym kraju słyną. Dostojny gospodarz domu oprowadzał sam swoich młodych gości wszędzie i objaśniał wszelkie szczegóły w rozlicznych działach gospodarstwa podając praktyczne rady i wskazówki. Wczoraj powrócili uczestnicy wycieczki do Dublan i — jak nam właśnie komunikują, zarówno nader uprzejme a szczere podjęcie w domu dostojnego gospodarza jak i korzyści odniesione w kierunku praktycznym zapisały się w młodych ich sercach wdzięcznem i niezatartem wspomnieniem.

Zabawne. W pismach, które dziwną i niewytłumaczoną przejęte są nienawiścią do Koła Polskiego, pojawiły się dziś telegramy z Wiednia, donoszące, że opis zgromadzenia wyborców miasta Lwowa, przesłany telegraficznie do Wiednia, wywołał w Kole Polskiem wielką konsternację i trwogę.

Wolne żarty! Przecież posłowie nasi mogli chyba tylko ramionami wzruszać i ubolewać nad tem, że Lwów pozwala sobie na takie zabawki, które uznalibyśmy za niewinne, gdyby nie kompromitowały one życia konstytucyjnego i nie zniechęcały ludzi poważnych do pracy na polu publicznem. I właśnie w tem jest najsmutniejsza strona wszystkich takich niedorzecznych zgromadzeń, urządzanych przez ludzi niedowarzonych i niepolitycznych.

Mogą przyjść czasy ciężkie, chwile wielkich dziejowych wypadków, kiedy poważny głos stołecznego grodu mógłby zaważyć na szali. Tymczasem głos ten jest skompromitowany, podobnie jak i zgromadzenia wyborcze lwowskie. Oddawna bowiem, od lat już co najmniej dwunastu, każde zgromadzenie lwowskie było arlekinadą, a niemal każda rezolucja uchwalona we Lwowie była sprzeczną z interesami kraju, od tego też czasu nikt z ludzi poważnych nie występował w ratuszu lwowskim na tych ludowych wiecach, każdy ceniący siebie usuwał się i zostawiał pole wolne pewnej garstce agitatorów, którzy z wielką zręcznością rozdają między siebie role, stawiają wnioski, uchwalają rezolucje i udają, że są reprezentantami miasta i mieszkańców.

Ale przecież jest to farsa i dość chwilę logicznie pomyśleć, aby się o tem przekonać. Kogoż możemy za głównych mieszkańców miasta uważać? Oczywiście w pierwszym rzędzie właścicieli domów, fabryk, warsztatów i magazynów. Ludzie ci są materjalnie przywiązani do miasta, a jego losy odbijają się wnet i bezpośrednio na ich kieszeni. W drugim rzędzie głównymi mieszkańcami miasta są wszyscy lekarze, adwokaci, urzędnicy, bankierzy etc. Nie są oni tak ściśle z miastem związani jak właściciele domów i zakładów handlowych, rękodzielniczych i przemysłowych, zawsze jednak reprezentują wielką masę kapitału czy to w ruchomościach czy to w inteligentnej pracy. Po za temi dwiemi kategorjami mieszkańców jest cały zastęp ludności nieprzywiązanej materjalnie do miasta, napływowej, ruchomej, dzisiaj będącej we Lwowie, ale mogącej jutro przenieść się do Krakowa, Wiednia, Brodów, Tarnopola, wyjechać na wieś lub za granicę, cały słowem legion ludzi, których to zgoła nic nie obchodzi, czy budżet miejski ma deficyt czy też nadwyżkę w kasie, którzy wcale tego nie odczują, jeżeli wypadnie podnieść lub zmniejszyć dodatki gminne, których zatem miasto i jego losy obchodzą o tyle tylko, o ile chwilowo oni w niem mieszkają i o ile ono dostarcza im przez ten czas pola do zarobku czy też sposobności do marnowania pieniędzy.

Niechże teraz zapyta się kto owych dwóch pierwszych głównych kategoryj mieszkańców miasta Lwowa: czy uważają oni pp. Drabika, Rewakowicza, Schustera, Ostaszewskiego i wszystkich innych, którzy przemawiali na przedwczorajszym wiecu, za reprezentantów swoich interesów? Czy w przemowach tych panów widzieli wypowiedziane swe uczucia, potrzeby, troski, obawy? Oczywiście każdy z nich wzruszy ramionami i wyprze się wszelkiego wspólnictwa. Więc jakże można utrzymywać, że t a k i e zgromadzenie było wyrazem opinji stołecznego grodu i jego obywateli? I jakże można przypuszczać, że Koło Polskie wzięło je na serjo, a wagę jakąkolwiek przywiązało do uchwalonych na tym wiecu rezolucyj?

Pan Karol Mikuli, urządza koncert w sobotę dnia 2 czerwca b. r. na dochód kolonij wakacyjnych chłopców i dziewcząt.

W koncercie wezmą udział najznakomitsze siły muzyczne naszego miasta.

Podatek na palaczy. Jedno z pism wiedeńskich donosi, że między rządem austrjackim a węgierskim toczą się rokowania mające na celu podwyższenia ceny cygar i tytoniu. Cygara maja podrożeć o $1/4$ do 1 centa, a tytoń w odpowiednim stosunku.

Fałszerstwo na wielką skalę. Z Paryża donoszą, że władze wykryły, iż mnóstwo biletów bankowych 500 frankowych znajdujących się w obiegu jest fałszywych. A kiedy zaczęto bliżej tę sprawę badać, przekonano się, że takich fałszywych biletów jest w obiegu na 23 miljony fr. Bilety mają być doskonale naśladowane tak, że jest podejrzenie, iż urzędnicy, zatrudnieni przy fabrykacji banknotów, byli w spółce z tymi, którzy się zajmowali fabrykacją.

O chorobie ks. Henryka Jackowskiego byłego prowincjała OO. Jezuitów, a obecnie rektora zakładu wychowawczego w Chyrowie, otrzymujemy smutną wiadomość z Karlsbadu, dokąd tenże udał się dla poratowania zdrowia przed zaledwie dziesięciu dniami. Oto przeziębiwszy się w podróży między Dreznem a Karlsbadem, zaniemógł tak ciężko na zapalenie błony brzusznej, że lekarze do przedwczoraj nie robili nadziei wyzdrowienia. Wczoraj w południe nastąpiło chwilowe polepszenie, lecz stan jest tak groźny, że pacjent przyjął już ostatnie sakramenta. U łoża jego czuwa wierny przyjaciel i kolega w Zakonie, ks. Załęski, który na wiadomość o chorobie ks. Jackowskiego pospieszył z Krakowa do Karlsbadu.

Przed samem zamknięciem dziennika odbieramy pomyślną wiadomość, że wedle orzeczenia lekarzy niebezpieczeństwo d z i ś s t a n o w c z o minęło i i nie zagraża już życiu czcigodnego pacjenta.

Dwa zaprzeczenia. Prezydjum Namiestnictwa lwowskiego wysłało wczoraj i przedwczoraj dwa zaprzeczenia do dwóch pism lwowskich. Pierwsze z nich wystosowane do *Dziennika Polskiego* opiewa:

„Szanowna Redakcja zechce na mocy §. 19 ustawy z d. 17 grudnia 1862 r. Dz. ust. państw. N. 6 ex 1863 umieścić w najbliższym numerze *Dziennika Polskiego* następujące sprostowanie: W numerze 139 *Dz. Pol.* z dnia 19 maja b. r. umieszczony został telegram z Wiednia, według którego wybór p. Kozłowskiego dlatego tak prędko został unieważniony, gdyż zażądał tego wyraźnie minister finansów, który nawet sam telegrafował po metrykę Kozłowskiego. Telegram ten w całej swej treści jest nieprawdziwy, gdyż pan minister finansów na unieważnienie powyż-

szego wyboru wcale żadnego nie wywierał wpływu, a doniesienie, jakoby pan minister finansów sam telegrafował po metrykę p. Kozłowskiego jest wprost zmyślonem Prezydjum c. k. Namiestnictwa, we Lwowie d. 22 maja 1888. — *Zaleski* m. p."

Drugie zaś, wystosowane do *Gazety Narodowej*, brzmi jak następuje:

„W numerze 118 *Gazety Narodowej* z d. 23 maja w rubryce „Ostatnich wiadomości" podano wiadomość, że starosta tarnowski, książę Ludwik Łodzia-Poniński został rozporządzeniem wyszłem wprost od hr. Taaffego spensjonowanym, a jako powód miano przytoczyć, że ks. Poniński dozwolił odbyć dnia 8 kwietnia w Tarnowie sejmik relacyjny, i że podobno sam w rozmowach z wyborcami opinje swe o przedłożeniu ustawy spirytusowej objawiał.

Wiadomość ta jest zupełnie nieprawdziwą, gdyż w rozporządzeniu ministerjalnem, którem ks. Poniński spensjonowany został, powyższego powodu wcale nie przytoczono. Prezydjum c. k. Namiestnictwa, we Lwowie d. 23 maja 1888. — *Zaleski.*

Skarga matki. Zgłosiła się do nas wczoraj pani X. i opowiedziała fakt następujący:

„W sobotę wieczorem dwaj moi synowie bawili się na dziedzińcu z dziećmi innych lokatorów tej kamienicy, w której mieszkam; ja zaś pod ten czas byłam w pokoju, bo układałam do snu najmłodsze dziecko. Wtem słyszę straszny krzyk. Wybiegam więc na galerję i dowiaduję się, że pan P., nasz sąsiad, wybił mocno mego starszego syna, chłopaka 12letniego. Bił go po twarzy, potem rzucił o ziemię i znęcał się nad nim okropnie. A kiedym mu robiła wymówki, oświadczył mi, że jest urzędnikiem i ma prawo bić."

Inne szczegóły opowiadania tego pomijamy jako mniej ważne, a fakt ten, którego epilog ma podobno rozegrać się przed kratkami sądowemi, zapisujemy tu na życzenie zrozpaczonej matki, gdyż się ona obawia, aby jej dzieci nie padły ofiarą nowych napaści.

Fakt to smutny, a jeżeli prawdziwy, to służyłby za dowód pewnego zdziczenia obyczajów.

Nekrologja. Wojciech Ignaszewski weteran z r. 1831, zmarł w Zaniemyślu w Poznańskiem.

W ostatnich dniach kwietnia r. b. w wieku lat 52 zmarł w mieście Châtillon en-Bazois w departamencie Niévre w południowej Francji ś. p. Jan Żyliński, doktor medycyny fakultetu w Montpelier. Zmarły urodził się we wsi Rygałówka w gubernji suwalskiej w r. 1836, szkoły kończył w gimnazjum w Suwałkach. Nieboszczyk pośród Francuzów zjednał sobie powszechne uznanie.

Ks. Mannes Białas z konwentu OO. Dominikanów zmarł w 34 roku życia.

Z Kolbuszowy nam piszą: W ubiegły piątek, tj. 18 maja, nawidził nas straszny pożar, który przy sprzyjających mu warunkach, a przedewszystkiem w skutek kilka dni trwającej posuchy, a bliskiego sąsiedztwa budynków, a nadto nieobecności większej części mieszkańców, którzy w celach handlowych zajęci byli w sąsiednich miastach, jak w Rzeszowie, Mielcu i Sędziszowie, przybrał ogromne rozmiary podsycany silnym południowo zachodnim wiatrem.

Rozszalały żywioł objął w mgnieniu oka przeszło pół miasta, i przejął wszystkich mieszkańców nieopisaną trwogą. Zwątpienie zapanowało ogólnie, a miejscowa straż pożarna, ciesząca się zresztą dotąd wszędzie i zawsze niezwykłem powodzeniem, rozhukanemu żywiołowi niestety uledz musiała. Z dzielną pomocą przybyła na szczęście niebawem straż pożarna głogowska i majdańska, a wspólne zabiegi tych straży uratowały miasto nasze od zupełnej zagłady.

Na razie nie można jeszcze podać szczegółowego wyazu strasznej katastrofy naszej. Do dzisiaj wiemy tylko, że przeszło 100 domów mieszkalnych i sklepów z towarami spłonęło; między spalonemi domami znajduje się szkoła czteroklasowa, i gospodarskie budynki plebana. Przeszło 1500 osób jest bez dachu i chleba i z rozpaczą patrzy w przyszłość. Bo jak zwykle u nas zabezpieczonych budynków było stosunkowo bardzo mało, a stąd ogólna szkoda dosięgnie sumy 300.000 zł. w. a. A jakkolwiek katastrofa ta spadła na nas w dzień, bo około pół do czwartej po południu, mimo to stał się pastwą płomieni 5 letni chłopiec izraelitów, i 30-letni posługacz. Większa część dotkniętych klęską pożaru, straciła literalnie wszystko, opuszczając płonący dom bez niczego, a stąd nędza tu przerażająca, pomimo, że litościwe serca ocierają nietylko łzy nieszczęśliwych, lecz i do swego tulą ich łona. Niechaj mi wolno przeto będzie złożyć na tem miejscu staropolskie: „Bóg zapłać" w imieniu nieszczęśliwych: Szanownej straży pożarnej głogowskiej i majdańskiej za ratunek; szanownym Reprezentacjom gmin: Rzeszowa, Sokołowa, Tarnobrzegu, Majdanu, Łańcuta i Głogowa, za chleb i odzież; świetnemu Wydziałowi powiatowemu w Rzeszowie za chleb; WW. pp. Holzerowi z Bud, za chleb, sól, ziemniaki i wódkę; Józefowi Buczkowi z Rzeszowa, za chleb; Verständigowi z Rzeszowa za chleb; Pomaranzowi z Kozów, za ziemniaki, mleko i masło, i Chunie Grosshausowi z Cmolasu, za chleb, ser i masło.

Zawiązany komitet ratunkowy pod przewodnictwem JW. Zdzisława hr. Tyszkiewicza, rozpoczął swe czynności.

Józef Winiarski, burmistrz miasta.

Z Dorpatu piszą: „Docent tutejszego uniwersytetu p. St. Zaleski otrzymał od wielkiego marszałka dworu cesarza Fryderyka III. list dziękczynny za ogłoszoną w *Berliner Klinischen Wochenschrift* rozprawę p. t. „Ueber Unzweckmassigkeit der Silbercanülen nach Tracheotomie", która sprawiła, iż rurki srebrne przy leczeniu cesarza zastąpiono zrobionemi z glinu (alluminium)."

Z Charlottenburga. Pisanie kartek uprzykrzyło się już cesarzowi Fryderykowi tak, że teraz rozmawia z otoczeniem najczęściej na migi. Wszyscy będący nieustannie około dostojnego pacjenta rozumieją go doskonale.

W tych dniach kazał sobie cesarz przymierzyć nowy mundur galowy na ślub syna. Nadworny dostawca B. zastał cesarza w łóżku. Podczas przymierzania cesarz patrzał na niego z uprzejmym uśmiechem i zrobił owalny ruch ręką po twarzy, którego pan B. nie zrozumiał. Dopiero kamerdyner objaśnił go, iż ponieważ pan B. miał minę smutną, przeto cesarz tym ruchem chciał mu dać do poznania, żeby się rozweselił, bo nie jest tak źle jak przypuszcza.

Według własnoręcznego rysunku cesarzowej Wiktorji zrobione zostanie wkrótce dla cesarza małe lekkie biurko, które pozwoli dostojnemu choremu pracować bez zmiany najwygodniejszej dla niego pozycji, tj. na pół leżącej w fotelu. Biurko to składa się z lekkiej deski, opartej na dwóch bocznych ścianach; z obu stron przytwierdzone są rękojeści, za które cesarz może chwycić w razie napadu kaszlu, lub oprzeć się, jeżeli się zeprzeć zechce. Biurko to może być dowolnie opuszczane lub podnoszone aż do piersi cesarza, tak żeby się wcale nie potrzebował schylać.

O stanie zdrowia cesarza Fryderyka uboczną wskazówkę spotykamy w ostatnim numerze *Figara*. Pismo rzeczone donosi, że właściciel willi w San Remo, gdzie chory spędził ubiegłą zimę, otrzymał z Charlottenburga zapytanie, czy nie wynająłby tej willi dla cesarza i na przyszłą zimę.

Berliner Tageblatt donosi: Głuchoniemy pomocnik malarski Franciszek Kinder w Bukownie pod Świętochłowicami (na Szląsku pruskim) ofiarował cesarzowi Fryderykowi zdrową swą krtań, jeżeliby przeniesienie jej do gardła cesarza było możliwe. W odpowiedzi otrzymał list Mackenziego, w którym tenże, uznając wielkość jego ofiary, odmawia przyjęcia — ze względu na bezużyteczność jej dla dobra cesarza jak i nauki.

Dobra służąca. — Jeżeli to pani przykrość sprawi zażywać lekarstwo, to ja mogę panią w tem wyręczyć.

Teatr. Dziś we czwartek operetka: „Nanon". Jutro przedstawienie składane: 1) „Mośkowe swaty" kom. w 1 akcie Blizińskiego; 2) „Kwiat z Tlemcenu" kom. w 1 akcie przez E. Légouvé i Merimé, 3) „Junacy" opetka Souppégo.

W „Kwiecie z Tlemcenu" wystąpi panna Helena Zimajerówna.

Literatura i Sztuka.

* **Naukowa praca arcyksięcia Józefa.** Brunatni, czarnowłosi, wieczni wędrowcy—cyganie budzili zawsze ciekawość ogółu i niejednokrotnie byli przedmiotem badań uczonych.

Różnica rasy, obyczajów, brak wszelkiej wspólności w pojęciu cnoty i występku, nieokiełznany nieczem pociąg do swobody i ciągłej zmiany miejsca, tajemniczość życia, zwyczajów, religji i mowy, tworzyły z cyganów ponętny temat dla powieściopisarzy, dramaturgów, poetów i malarzy.

Wszystkie też piśmiennictwa europejskie obfitują w utwory i obrazy czerpane z życia tego mało znanego dotychczas ludu, a postacie stworzone przez Dickensa, Karola Ride, Kraszewskiego w powieściach i Murilla na płótnie, pociągają swoją wysoką wartością artystyczną.

Bogatą jest również, traktująca o cyganach i literatura naukowa. O ich muzyce obszerną pracę wydał Liszt, francuscy i niemieccy uczeni rozświetlali ich historję... U nas pisali o nich Czacki, Michał Wiszniewski, Daniłowicz, Narbutt i inni.

Do rzędu prac tych ostatnich przybyło świeżo dzieło, które nosi tytuł „Mowa cygańska", a autorem jego jest arcyksiążę Józef. Przez lat 36 zbierał on materjały do swej pracy, studjował je wszechstronnie i nie prędzej ogłosił ją drukiem, aż naukowa jej wartość uznaną została przez akademję umiejętności. Członkowie jej Józef Budenz i Emil Ponori Thewrewk, którym powierzono jej ocenienie, w sprawozdaniu swojem wyrazili się, iż „dzieło to stanowi ozdobę literatury węgierskiej." A że słowa te nie są pochlebstwem, jak ze względu na stanowisko autora podejrzywać by można, dowód w tem, iż akademja wydała je pod swoją firmą.

Nietylko w Węgrzech, w tej ojczyźnie cyganów, dzieło to budzi wiele interesu; sądząc ze sprawozdań ocenione one zostało bardzo pochlebnie i przez krytyków fachowych, trzeba bowiem wiedzieć, iż jest to pierwsza gramatyka języka cygańskiego, odpowiadająca wymaganiom nowoczesnej lingwistyki i filologji.

Arcyksiążę powziąwszy od bardzo dawna zamiar napisania wyczerpującego dzieła o cyganach, przygotowywał się do tej pracy wszechstronnie, korzystał z każdej sposobności, dającej mu możność zetknięcia z nimi, poznania ich życia i wyuczenia się ich mowy, jako zaś komendant honwedów, miał większą od innych pod tym względem łatwość; opowiada też sam, iż korzystając z niej, całe godziny spędzał na rozmowie z żołnierzami pochodzenia cygańskiego.

Według autora, rom (cygan) lub manas (człowiek), jak cyganie w przekonaniu swej wyższości względem ludności osiadłej (gadzo—chłopi), nazywają się sami, mają niewątpliwie pochodzić z Indji. Istnie jącą w nauce hypotezę, jakoby cyganie byli potomkami starożytnych egipcjan, autor zwalcza zwycięzko porównaniem ich mowy z narzeczem malabarskiem. Przez wiele wieków wędrówki po rozmaitych krajach język ich uległ przeobrażeniu, wsiąknął w siebie wiele wyrazów i form obcych, zachowany przecież w znacznej ilości pierwiastek indyjski, jest tak dalece przeważnym, iż kwestja pochodzenia tego ludu z Indji nie ulega wątpliwości. Równie znacznym przeobrażeniom uległy religja i muzyka cyganów. Właściwie mówiąc, nie mają oni żadnej własnej religji i przyznają się zwykle do panującej w kraju, w którym przebywają. W Węgrzech są oni protestami lub katolikami, w Turcji wyznawcami Mahometa, w Anglji presbyterjanami i t. p. Jak do wyznania, stosują się też w każdym kraju i do muzyki narodowej, a w pojmowaniu jej i wykonaniu dochodzą do takiej doskonałości, iż nawet Liszt twierdził, że narodowej muzyki węgierskiej nie ma wcale, jest tylko węgierska muzyka cygańska.

Pomimo swej odrębności i niechęci do życia osiadłego, cyganie w ostatnich kilku dziesiątkach wieku bieżącego, ulegli, według zapewnienia autora, silnemu wpływowi cywilizacji. Otoczenie osiadłej ludności, obowiązki państwowe, zwłaszcza służba w wojsku, z każdym rokiem sprawiają większe szczerby w ich pojęciach, życiu i usposobieniach i coraz bardziej niwelują różnice, dzielące ich od reszty ludności. Rozumie się, iż mowa tu tylko o cyganach węgierskich. Rzemiosła, przemysł i wiele innych prac, nieodłącznych od życia osiadłego, liczą dziś wśród cyganów bardzo wielu pracowników, a już szczególniej sztuka, która może pochwalić się takimi przedstawicielami, jak peszteńska śpiewaczka Aranka Hegyi, muzyk kompozytor Berkes, dalej Bunko i wielu innych pierwszorzędnych śpiewaków i muzyków. Ale ten wpływ cywilizacji widoczny jest tylko w Węgrzech, gdzie społeczeństwo nie odgrodziło się od cyganów tak nieprzebytym murem, jak w krajach innych.

Gdy dzieło arcyksięcia Józefa wyszło z druku, cyganie węgierscy zwrócili się do znanego powieściopisarza Maurycego Jokaya z prośbą o napisanie w ich imieniu do dostojnego autora adresu dziękczynnego za pracę tak wielkiego dla nich znaczenia i wartości.

* **Koncert.** Pan Władysław Florjański przypomniał się wczoraj lwowskiej publiczności występem w koncercie w sali kasyna miejskiego. Tenorzystę opery czeskiej w Pradze powitano bardzo ciepło, a wszystkie produkcje wokalne jego pięknego głosu przyjęto również nader przychylnie, jakkolwiek głos ten, potrzebujący do pełnego rozwinięcia się szerokiej przestrzeni, na koncertowej estradzie i w piosnkach wymagających misternego uwydatnienia delikatnych niuansów, wydać się musi mniej korzystnie aniżeli na wielkiej scenie operowej. Bardzo podobały się zaprodukowane przez koncertanta piosnki czeskich kompozytorów Chwali i Kovarzowicza — szczególniej nader wdzięczne „Ptaszę" tego ostatniego, a nowość dla nas, duet z nowej wielkiej opery Verdiego: „Otello", odśpiewany przez koncertanta i pannę Patkiewiczównę zrobił silne wrażenie, jako rzecz pełna pięknych mistrzowsko opracowanych zwrotów. Fortepianowa część koncertu spoczywała w ręku panny Baumel, która z wdziękiem i precyzją odegrała fantazję Liszta.

Rozmaitości.

— **Krwawy deszcz** spadł niedawno w okolicach miasta Tay Ninch w Kochinchinie.

Oto jak opowiada zdarzenie to p. Thoraude, który wtedy wracał pocztą do domu.

„Około godziny czwartej po południu na odległości 8 kilometrów od miasta konduktor prowadzący dyliżans wrócił się do mnie z ostrą wymówką, dla czego bryzgam krwią z moich palców na jego ubranie...

Urażony tem i nie czując się do winy, spojrzałem na ręce i ze zdziwieniem zobaczyłem, iż palce były obficie zabarwione na czerwono, jakby pokrwawione...

W pierwszej chwili myślałem, że przypadkiem sam o tem nie wiedząc, skaleczyłem rękę, lecz po starannem obtarciu palców przekonałem się, iż nigdzie nie było śladów rany.

Skonstantowali to i wszyscy towarzysze podróży.

Oglądając ubranie zostałem przerażony widokiem, że moja czarna garderoba była gęsto usianą drobnemi kroplami, które na czarnem wydawały się czarne, lecz roztarte na palcu zupełnie przypominały wyglądem krew na wpół skrzepłą. W kilka chwil jeden z podróżnych spostrzegł na twarzy swego dziecka plamę jakby kroplę krwi... Wkrótce wszyscy jadący pocztylion i konduktor, każden znalazł na swem ubraniu masę takich samych kropel...

Podczas całego zjawiska niebo było pochmurne, ale nikt nie spostrzegł deszczu, chociaż wilgotna ziemia wskazywała, że takowy musiał padać."

O krwawym deszczu w tychże okolicach, a który padał o tej samej godzinie zdał relację niejaki Lanh.

Korespondent akademji p. Delauney obiecuje, że za pierwszą okazją postara się wysłać do Paryża garderobę spryskaną deszczem w celu bliższego zbadania przyczyny zjawiska.

— Zkąd że wzięła się krew w deszczu? — zapytasz czytelniku, dziękując Bogu, że twój jasny paletot nie był narażony na ozdobienie czerwonemi centkami

Przedewszystkiem krwi wcale tam nie było i z danych zebranych przez Blancharda dowiadujemy się, że woda nieraz przybierała kolor krwi, będąc zabarwioną substancjami już to organicznej natury już to mineralnej.

Zdarzają się wypadki, że na wybrzeżach morza Śródziemnego bagniska słone nieraz przybierają kolor purpury. Payen w r. 1836 dowodzi, iż kolor powstał wskutek obecności drobniutkich raczków grupy krótkonogich zwanych *Artemia salina*. Dunal w cztery lata później przypisuje to samo organizmom roślinnym rodzaju *Proto soccus*, zwanym niekiedy dla swej czerwonej barwy *Hematococcusami*. Trzeci badacz Joly, w referacie złożonym fakultetowi w Tulonie przychyla się do zdania Dunala, twierdząc, że raczek *Artemia* dla tego często bywa purpurowy, że żywi się *Hematococcusami*.

Nie trudno zrozumieć, iż woda tak zabarwiona może być wyrzucona siłą huraganu nad ziemię i spowodować niekiedy zjawisko podobne do opisanego.

Naukową obserwację faktu bardziej zbliżonego do tego jaki miał miejsce w Kochinchinie znajdujemy w rocznikach neapolitańskiej akademji gdzie w roku 1813 profesor Sementini złożył raport o krwawym deszczu, jaki widział d. 14 marca t. r. a Gerace Sementini twierdzi, że zabarwienie było spowodowane pyłem żelazistym pochodzenia ziemskiego, który prawdopodobnie został niesiony wiatrem w górne strefy i ztamtąd opadł wraz z deszczem na ziemię.

W r. 1860 Campini i Gabrielli znaleźli w kroplach krwawego deszczu, który opadł w okolicach Sienny d. 28 i 31 grudnia, organizmy podobne do tych jakie opisuje Blanchard.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 maja.

Pisząc sprawozdanie za ubiegły tydzień, zaznaczyłem czemu przypisać, że na tutejszej giełdzie mimo alarmujących politycznych nowin zapanowało usposobienie spokojne i wyczekujące, a nerwowość, która do niedawna była panem tutejszego rynku, ustąpiła zupełnie.

Dziś dostrzegam te same objawy, bo ani wiadomość o dyslokacji wojsk niemieckich ku granicom od Francji i Rosji, ani wieści o zaprowadzeniu dyferencjalnej taryfy cłowej od importowanego do Niemiec zboża, nie pozbawiły tutejszej giełdy owego wyczekującego spokoju, który stał się od pewnego czasu regulatorem tutejszej spekulacji.

Wiadomość o dyslokacji wojsk niemieckich nie brano wcale jako akcję agressywnej polityki, ale jako akt rozumnej przezorności wobec potęgujących się zbrojeń sąsiadów. Zatem nie witano tej wiadomości z obawą o możliwe zawikłania, lecz przeciwnie tłumaczono ją na język pokojowy, sądząc, że postawa Niemiec, dostatecznie przygotowanych na wszelki niespodziany napad, daje trwalszą rękojmię pokoju, niżby dawała ją bezczynność dyplomatyczna i militarna.

Wiadomość zaś o dyferencjalnych taryfach cłowych na importowane zboże do Niemiec, przyjęto nawet przychylnie, bo wzięto owe zarządzenie za strzał wymierzony wyłącznie przeciw Rosji i liczono się z tem, że przy umniejszonym dowozie zboża z Rosji tylko skorzystać może rolnictwo i handel zbożowy austrjacki. Eskontowano więc te nadzieje drobną repryzą w papierach kolejowych, gdyż rachowano już z góry, że przy zwiększonym handlu zbożowym do Niemiec musi się ożywić ruch na naszych kolejach i muszą powiększyć ich dochody.

Pod wrażeniem tych wiadomości i lepszych kursów z Berlina umocniło się usposobienie, z początku zbyt nieśmiałe, i ożywił ruch, przy otwarciu giełdy bardzo nieznaczny. Skutkiem tego zyskały drobne awanse efekty lokacyjne, a repryza poczynała już przechodzić na inne pola, gdy koło południa nadesłano słabsze notowania z Berlina. Pod ich naciskiem i z powodu znaczniejszych realizowań rotszyldowskiej grupy w kredytach i w złotej rencie węgierskiej—znów usunęły się kursa a tendencja osłabła.

Bez znaczniejszych zmian w kursach skończył się przeto dzień dzisiejszy, co się przeważnie odnosi do rent, pryorytetów i losów. Za to waluty i dewizy kłoniły się ku zniżce, a tylko ruble notowano w końcu z małym awansem.

Oto końcowe kursa:

Kredyty austrjackie 277·—, węgierskie 277 50, anglobanki 103 50, uniony 197·75, bankvereiny 88 25, laenderbanki 211·50, ludwiki 201·80, czerniowieckie 211 50, renta papierowa 78·50, srebrna 80 30, złota austrjacka 109 40, 5% papierowa 93 15, złota węgierska 96 95, 5% papierowa 85 30 Rubel 1·05—1·05¼.

= **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ bydła rzeźnego przypędzono 4268 sztuk opasowego i 548 sztuk chudego. Ogółem 4816 sztuk bydła. — Między temi z Galicji przypędzono 1117 sztuk opasowych i 24 sztuk chudych, z Bukowiny 33 sztuk opasowych i — sztuk chudych. — Ogólny przypęd był o 378 sztuk mniejszy niż zeszłego tygodnia, z Galicji przypędzono w porównaniu z zeszłym tygodniem o 24 sztuk więcej. Przebieg targu był mniej więcej niezmieniony, jednak tylko towar przedni otrzymał polepszenie cen.— Nie sprzedano 145 sztuk.

Płacono: galicyjsko-bukowińskie woły opasowe po 47 do 51 zł., towar przedni po 52 do 55 zł., wyjątkowo 56 do — zł.; węgierskie woły opasowe po 46 do 52 zł., towar przedni 53 do 58 zł., wyjątkowo — do — zł., a z innych krajów koronnych woły opasowe 49 do 54 zł, towar przedni 55 do 59 zł., wyjątkowo 60 zł.; krowy 47 do 54 zł., buhaje 46 do 52 zł. za centnar metryczny towaru zabitego; bydło chude płacono po 22 do 115 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Kijów 24 maja (pryw.) W łonie komitetu urządzającego uroczystość 900 nej rocznicy przyjęcia wiary greckiej przez Ruś powstały tak znaczne spory i różnice, że hr. Ignatjew wstrzymał swój przyjazd do Kijowa, aż się sprawa ułoży Dzienniki tutejsze zamieszczają tylko lakoniczną depeszę, że hr. Ignatjew zachorował i w skutek tego odroczył swe przybycie.

Towarzystwo kolei południowych otrzymało rozkaz przystąpić bezzwłocznie do budowy odnogi humańskiej.

Wiedeń 23 maja. Z Izby posłów Rady państwa. Wpłynęło 2835 równobrzmiących petycyj, zaopatrzonych w 47.648 podpisów, żądających związku cłowego z Niemcami w celu umożliwienia wolnego od cła przywozu produktów rolniczych.

Wniosek Schönerera względem wydrukowania tych petycyj i przydzielenia takowych komisji gospodarstwa narodowego z wezwaniem o spieszne złożenie sprawozdania — odrzucono.

Prezydent przywołuje dodatkowo do porządku Foreggera za wczorajsze wyrażenie, iż Słowianie nie mają zmysłu prawnego.

W dalszym ciągu rozpraw nad budżetem polemizuje Ferjancic z Foreggerem i konstatuje, że Foregger z całej Izby najmniej był powołany do wytoczenia inwektyw przeciw Słowianom. Mówca wytacza dalej rozliczne skargi Słoweńców Styrji, Karyntji, Krainy, wreszcie Istrji i zapewnia, że wyższy sąd krajowy w Gracu stara się o ile możności język słowiański usuwać. Rozporządzenie w sprawie używania języka słowiańskiego przy wpisach do ksiąg gruntowych jest zdaniem mówcy najzupełniej uzasadnione, zaś zarzuty Foreggera pozbawione wszelkiej podstawy.

Kronawetter omawiając stosunki sądownictwa w Czechach twierdzi, że w Pradze utworzono osobny wyjątkowy sąd i osobny senat, przed którym wytaczane bywają wszelkie sprawy socjalistyczne. Sąd ten, według twierdzenia mówcy, formułuje oskarżenia i zestawia środki dochodowe w sposób niepodobny do wiary. Z całego szeregu przytoczonych faktów wywodzi mówca konkluzję, że zachodzą nieusprawiedliwione nadużycia prawa rewizji domowej i więzienia śledczego. Wreszcie żali się mówca na nieusprawiedliwione postępowanie przy konfiskatach pism.

Minister Pražak wykazuje, że rozporządzenie co do wpisów intabulacyjnych odpowiada zupełnie ustawie, że wpisy w kilku językach już dawniejszemi czasy były praktykowane, między innemi w Tryjeście. Należy także zważyć, iż wpisy te odbywają się na życzenie i w interesie właścicieli majątków.

Co do rozlicznych ataków na sądowych i niesądowych funkcjonarjuszy, minister nie uważa za stosowne wchodzić za mówcami na to pole osobiste, a ogranicza się tylko do wskazania, że prokurator państwa, mianowany dla Lublany, posiada najzupełniejszą kwalifikację. Również prostuje minister na podstawie aktów fakta przytoczone co do pewnego zaatakowanego urzędnika w Cilli.

Następnie odpiera minister stanowczo zarzut, jakoby przy konfiskatach postępowano stronniczo. Niesłuszność tego zarzutu już stąd wynika, że sądy wyższe zatwierdzają największą część konfiskat. Bardzo niebezpieczną wydaje się ministrowi praktyka, według której osnowa skonfiskowanych artykułów może być w formie interpelacji dosłownie w Izbie do wiadomości publicznej podana. Zresztą minister nie byłby przeciw ograniczeniu postępowania objektywnego i radby rozszerzyć ingerencję sądów przysięgłych w sprawach prasowych, nie chce jednak wchodzić w to, czy taka zmiana byłaby dla interesowanych rzeczywiście tak przyjemną i pożądaną, jak niektórzy przedstawiają.

Co do zarzutów Kronawettera zapewnia minister, że zarządzi dokładne dochodzenia, atoli już dziś może powiedzieć, iż mniemanie jakoby w Pradze utworzono osobny sąd dla przekroczeń socjalistycznej natury, jest wytworem zbyt wybujałej wyobraźni. Jeśli następuje delegacja sądu, to dzieje się to tylko od wypadku do wypadku na podstawie żądania prokuratorji państwa ściśle tak, jak to ustawa przepisuje.

Wreszcie daje minister wyjaśnienia co do obsadzania posad w urzędach sprawiedliwości w Styrji, Karyntji, Krainie i Istrji urzędnikami władającymi obydwoma językami krajowymi i wzywa Słoweńców, aż by się zadawalniali postępem powolnym, a nie pragnęli zbyt gwałtownych skoków. (Żywe oklaski z prawicy).

Prezydent Smolka wzywa mówców zapisanych do głosu, ażeby się o ile możności streszczali i ograniczyli do pozytywnych faktów. Obrady dotychczasowym trybem iść nie mogą. Po za parlamentem objawia się powszechne oburzenie z powodu rozwlekłego toku debat budżetowych.

Gregorec żali się, że w okolicach przez Słoweńców zamieszkałych notarjusze fungują i fungować muszą jeszcze ciągle w języku niemieckim, gdyż inaczej sądy powiatowe stawiają im trudności.

Izba uchwala zamknięcie dyskusji. Po przemówieniach Jaquesa i Vaschatego, jako mówców jeneralnych, oraz po ostatniem słowie referenta Lienbachera, Izba przyjmuje tytuł: „Zarząd centralny ministerjum sprawiedliwości".

Kraus wnosi interpelację z powodu świeżych wybryków w Steinkirchen pod Krumau w Czechach przeciw członkom niemieckich stowarzyszeń gimnastycznych.

Następne posiedzenie jutro.

Berlin 23 maja. Cesarz wyjechał wczoraj w zamkniętym powozie wraz z cesarzową z Charlottenburga do Berlina.

Reichsanzeiger ogłasza, że prof. Virchow otrzymał order Czerwonego Orła II klasy z gwiazdą i liściem dębowym.

Berlin 23 maja. W sprawie zamierzonego powyższenia cła od zboża rosyjskiego czyni *Post* następującą uwagę:

Wzajemność finansowa okazana Rosji w r. 1884 (w operacjach handlu morskiego) zasadzała się na przypuszczeniu, że Rosja skutkiem tego będzie bardziej pokojowo dla Niemiec usposobioną. Przypuszczenie to było błędnem, a nadto okazało się, że zachowanie pokoju europejskiego da się skuteczniej zabezpieczyć okazywaniem tendencji obronnej w obec finansów rosyjskich. Rozporządzenia cłowe rosyjskie, tak ciężko krzywdzące handel niemiecki, musiały wreszcie nasunąć myśl o represaljach.

Paryż 24 maja. Zgromadzenie masońskiej loży Wielkiego Wschodu uchwaliło założyć: „stowarzyszenie praw ludzkich i obywatelskich" z celem zwalczania bulanżyzmu.

Paryż 24 maja. Oportunistyczne dzienniki osądzają nieprzychylnie Zgromadzenie, które się odbyło w loży Wielkiego Wschodu.

Na posiedzeniu Towarzystwa do studjowania handlu kolonjalnego, miał Flourens mowę, w której przeciwstawił francuskiej kolanialnej polityce, działającej za pomocą namowy, propagandy i przekonywania, politykę angielską kolonjalną, która działa drogą rabunku i wyzyskiwania.

Berlin 24 maja. Księżniczka Irena przybyła wczoraj wieczorem do Charlottenburga. Na dworcu powitała ją rodzina cesarza i wśród entuzjastycznych okrzyków tłumnie zebranej publiczności odprowadziła do zamku.

Simla 24 maja. Trzy tysiące Tybetańczyków uderzyło wczoraj na Guatong. Podczas odwrotu ścigały ich wojska angielskie, wskutek czego stracili Tybetańczycy 100 ludzi. Angielskie wojska miały 3 zabitych, a 2 rannych.

Tryest 24 maja. Dziś przed południem w obecności arcyks. Karola Ludwika i jego małżonki, tudzież namiestnika, oraz dygnitarzy wojskowych i świeckich, odbyło się w odświętnie przystrojonym arsenale Lloyda spuszczenie na wodę statku „Imperatrix", przy czem arcyksiężna Marja Teresa funkcjonowała jako matka chrzestna.

Spuszczenie statku odbyło się prawidłowo wśród rzęsistych oklasków publiczności.

Konstantynopol 24 maja. Porta nie sprzeciwia się tymczasowemu powrotowi konsula greckiego do Monasteru aż do zbadania kompromitujących go dokumentów, które Porta do Aten odesła.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa
dnia 24 maja 1888.

Hotel Angielski: Pp. W. Żelechowski z Hrehorowa. A. Ujejski z Denysowa. M. Zuckerman z Hłoszyniec. K. Rappe z Jezupola. Z. Nowosielecki z Nowosielec. W. Raciborski z Podniestrzan.

Kursa giełdowe.

Wiedeń 24 maja, godzina 10 minut 65. — Kredyty austr. 276 90 — kredyty węgierskie 276 75 — renta wspólna pap. 78 60 złota węgierska 96 65 — länderbanki 210·50 — anglobanki 102.75 — uniony 197·— — Staatsbahny 232.50 — Karola Ludwika 202.— Czerniowieckie 211·— — Vereiny 88·— — 5% węg. pap. ren. 84 95.

Z zbożowych targów.

24 maja	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.10—6.80	6.——6.70	6.——6.65	6·20—6.7[illegible]
Żyto	4.30 4.8	4.40—4.8	4.——4.35	4.30—4.80
Jęczmień	3.75—6.	4.——5.—	3.65—4.65	4.20—5.3
Owies	4.15—4.7	4.30—4.70	3.75—4.15	3.60—3.90
Groch	5.— 10.—	4.——9.—	6.— 9.75	4.40 9.—
Wyka	4.50 5.—	4.30—4.75	4.——4.70	4.10—4.8[illegible]
Rzepak	9.50 10.15	9.50 10.—	9.50 9.90	9.50 9.90
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	18.—38.—	17.—36.—	16.—35.—	8.—34.—
Konic. biała	20.—30.—	30.—36.—	30.—36.—	—.——.—
Konic. szwed	30.—36	30.—35.—	28.—35.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.
Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.
Okowita za 10.000 litr. proc. Lwów loco —·— do ——
Wiedeń 24 maja. Pszenica 7·48 do 7·53 na jesień 7·85 do —·—. Żyto 6 12 do 6 20, na jesień 6 45 do —— Owies 5 45 do 5 52, na jesień 5 85 do —·—. Okowita 25 62— do 25·87.— **Peszt** 24 maja. Pszenica 7·13 do 7 15, na jesień 7·55 do —·— Żyto —·— do —·—, na jesień —·— do —·—. Owies —·— do —·—, na jesień 5·45 do ——. Okowita 24 25 do 24 50. **Berlin** 24 maja. Pszenica 175 25 do ——, na jesień 178 75, Żyto 130 50 do —·— na jesień 137 50. Owies 123·—, do —— na jesień 125·75. Okowita 34 30. do —.—, na jesień 35 80.

Lwów. Z Izby handlowej 24 maja 1888.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	200	50	204	—
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	210	50	213	50
Banku hip. galic 200 zł. w. a.	283	—	287	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku hyp. galic. 5 prc. w. a.	97	90	99	—
„ „ „ 5 „ 10% pr.	100	50	101	80
Banku krajowego 4½% w. a.	92	—	93	—
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100	80	102	—
„ „ „ 4 „ „ „	—	—	95	—
„ „ „ 5 „ „ „	100	80	102	—
„ „ „ 4 „ „ „	—	—	92	—
„ „ „ 4½% „	93	40	94	40
„ „ „ 4% „ „	—	—	91	—
3. Listy dłużne za 100 złr.				
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	—	—	54	—
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	—	—	45	—
4. Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	102	25	103	50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	99	50	101	—
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	—	—	105	—
„ „ „ 1883 4½% „	89	75	91	—
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	—	—	20	50
„ „ Stanisławowa . . .	—	—	36	50

Pociągi kolejowe
podług zegaru lwowskiego od dnia 20 październ. 1887 roku

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pospiesz.	Pociąg osobowy	Pociąg mieszany	Pociąg lokalny
Z Krakowa	5.50	9.27	11 35	7.06
„ Podwołoczysk . .	10.24	3.05	5.50	
„ „ na Podzamcze	10.10	2.28	3.19	
„ Czerniowiec . . .	10·03	3.35	3.30	
„ Stanisławowa . .	6·36	9.35	9.29	
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa . . .	10.44	4.10	4.50	8.10
„ Podwołoczysk . .	6.10	10.25	12.38	
„ „ z Podzamcza	6.22	10.55	1.08	
„ Czerniowiec . .	6 20	11.06	12 22	
„ Stanisławowa . .	9.84	6.35	5.20	

49)

Salon i kulisy.

Z angielskiego przetłómaczyła

N. Krzyżanowska.

(Ciąg dalszy).

— Mam nadzieję, że poszła się położyć — wyszeptał; spojrzawszy zaś w okno i wracając ku sali balowej, zauważył jeszcze:

— Co za dziwnie ciemna noc!... ani jednej gwiazdki nawet!

Tańce szły dalej wesoło, twarzyczki upojone zabawą i zachwytem wirowały w takt odurzających dźwięków orkiestry, której echo dochodząc do skraju parku, milkło jakby przerażone spotkanym tu widokiem.

Na małej polance, wśród malowniczych umieszczonej kląbów, otoczone ponurą nocy ciemnością spoczywały martwe zwłoki mężczyzny w stroju balowym. Trup leżał nawznak, ze szklanym wzrokiem w niebo utkwionym i wyrazem pogody na zsiniałem woskowem obliczu. Tajemnicę Stelli jeden więc już tylko posiadał człowiek. Mniemana miss Hatton nie była odtąd na łasce Waltera Bryanta.

XXIII.

Południe zabłysło na niebie, gdy nazajutrz jeden z ogrodniczków odkrył wypadkiem martwą postać leżącą wśród kląbów.

W pałacu życie wrzeć właśnie zaczynało. Pomęczeni goście schodzili się zwolna do sali jadalnej, gdzie strojna i zadowolniona z wczorajszej uroczystości piękna gospodyni sama ze srebrnego samowara nalewała herbatę, przysłuchując się równocześnie szczegółom, opowiadanym o świetnej zabawie.

— Czemużto Stelli nie ma dotąd? — zauważyła miss Herrick ze zwykłym sobie złośliwym wyrazem. — Czyżby ją opuściła już dzisiaj nadludzka energja, którą w takie zdumienie wprawiła nas wczoraj?

— Musi być śmiertelnie znużona — tłumaczył kapitan Adams, przybierając pasztetu. — Na Jowisza! przecudną była powróciwszy do sali balowej w tej przepysznej sukni perłami zasianej.

— Urządziła nam conajmniej bezpłatne widowisko — rzuciła Blanka Herrick wzgardliwie, przekonawszy się wpierw, że lord Keith zbyt jest oddalony, by mógł słowa jej dosłyszeć.— Ułożyłyśmy się, że nie zmienimy toalet; tańczyła już w tamtej czas jakiś, a potem znikła, aby pod koniec zabawy przywdziać świetny strój balowy. To śmieszne p prostu.

— Przeciwnie, trud opłacił się tym razem — obstawał przy swojem kapitan Adams. — Była tak cudownie piękną, iż wątpię, czy którykolwiek z obecnych mężczyzn dożywszy stu lat wieku nawet, zapomni wrażenia jakie na nim wywarła. Zdawała się być jakąś istotą nieziemską, muzą natchnioną conajmniej.

Miss Herrick śmiała się; w błękicie jej zimnych oczu wszakże złowieszczy błysnął wyraz.

Lady Róża za to, niemająca powodów do zazdrości, spojrzała z uznaniem na młodego oficera, a dziękując mu lekkiem skinieniem główki, dodała:

— Masz rację, kapitanie, była prześliczną; należy jej się też wdzięczność ode mnie za to, że obecnością swoją uświetniła mój salon i zapewniła powodzenie zabawie.

— Lord Keith był przedmiotem powszechnej zazdrości.

Blanka wzgardliwie skrzywiła usta.

— Nie przeczę, że jest bardzo piękną — przyznała. — Sądzę jednak, że gdy chodzi o żonę, wolicie panowie zazwyczaj mniej ekscentryczne kobiety.

— Nie znajduję, by miss Hatton zasługiwała na ten zarzut — bronił jej jeden z mężczyzn. — Jest tylko nieco kapryśną, ale to zwykły przywilej pięknych osób.

— Wiem, wiem — przyznała z ironicznym uśmiechem. — Bogatej spadkobierczyni hrabiego Elsdale'u wszystko wolno. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że wczorajsze jej postępowanie było nieprzyzwoitem poprostu. Przywdziewać pod koniec wieczoru suknię, stosowną na bal dworski jedynie, i tańczyć jak bachantka; to rzecz niezasługująca chyba na oklaski. Gdyby lord Keith mniej był zadurzonym, nie powinienby pozwalać na to.

— Ależ on o niczem nie wiedział — wtrąciła jedna z pań. — Zapytany przeze mnie na parę minut przedtem, gdzie jest miss Hatton, zapewnił, że znużona i niezdrowa udała się na spoczynek. Zaledwie zaś słowa te wymówił, gdy na progu ukazała się Stella. Możecie sobie wyobrazić, jaką miał minę. Trzeba jednak przyznać, Blanko, że królewska to była toaleta. Od Wortha zapewne?

— Och, ma się rozumieć. Znana jest ze swej rozrzutności i zbytków. Ciekawa rzecz, jak się to będzie podobało lordowi Keith po ślubie!

— Cicho... otóż i ona. Co za oryginalny odcień aksamitu!

Wszyscy podnieśli oczy. We drzwiach ukazała się miss Hatton, a odpowiadając po drodze na odbierane ukłony, zwolna zbliżyła się aż do miejsca przeznaczonego dla niej obok gospodyni domu, i pociągnięta przez lady Różę, przy niej usiadła.

— Nie oczekiwałam cię dzisiaj, moja droga — szczebiotała piękna wdówka. — Sądziłam, że zechcesz odpocząć po wrażeniach dzisiejszej nocy.

— Dzisiejszej nocy?

— Ależ tak... Skąd ta przerażona minka? Co, czyżbyś zaspała pamięć wczorajszych tryumfów? Podbiłaś przecież szturmem serca wszystkich panów i wzbudziłaś nieśmiertelną w duszach pań zazdrość... Po co wstałaś tak wcześnie, Stello?... Strasznie jesteś blada.

— Och, to wina sukni. Ten rodzaj barwy czyni mnie zawsze „strasznie bladą“ — zapewniła zniżonym lecz spokojnym głosem. — Sądziłam, że wszystkich tu już zastanę; zeszłam więc, aby się od innych nie wyróżniać.

— Połowa gości śpi w najlepsze, jak widzisz — zaśmiała się lady Róża. — Ale czemu ty nie jesz, Stello?... Kapitanie Adams! proszę, zechciej pan przysunąć miss Hatton pasztet. (C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.